

WIELKOPOLSKA Fot. J. Urbański

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

NR. 6. STYCZEŃ-LUTY 1933. ROK IX.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY

ROK IX. KRAKÓW, STYCZEŃ—LUTY 1933 NR. 6.

WIELKOPOLSKA



Jezioro Kociołek w Ludwikowie. *Fot. J. Urbański*

Z ZIEMI WIELKOPOLSKIEJ

. . . dziewanny
z piaszczystych wydm się ruszyły,
z miedz się ruszyły krwawniki,
z poza zapłoci bez się ruszył dziki,
tatarak zaszumiał w wądołach
i z mułu otrząsnąwszy pachnące korzenie,
idzie wraz z niemi . . .
Z mokradeł kępy rogoży,
z przydroży
osty o żółtych kolcach
szerokolistne łopiany,
senne podbiały, —
fioletowe szaleje,
ciernisteg głogi
wstały
i idą . . .
Liśćmi miękkiemi
wierzb zaszeleścił rząd . . .

(*Jan Kasprowicz: Święty Boże, Święty Mocny*)

SYN ZIEMI WIELKOPOLSKIEJ

Cicho dumają wody Gopła, nigdzie się wzrok nie zatrzyma — na niczem nie spocznie! Dookoła ogrom ziemi ograniczony tylko ogromem nieba — dwa wielkie żywioły: ziemia i niebo. Ziemia, z której człowiek wychodzi, niebo ku któremu zmierza, ziemia, która go żywi, którą uprawia, krwią i potem użyźnia, niebo ku któremu tęskne wyciąga ramiona. Żadnych ozdób ani urozmaiceń na tej Kujawskiej równinie, nic z tego, co nazywamy malowniczem i poetycznem, nic z fantastycznego rysunku wzgórz, z rozbłękitnienia lasów, z zapachu morza.

Z tych to równin wzbił się niegdyś biały lechicki orzeł, na nich wykołysał się polski język. Na te wielkie w swej surowości horyzonty patrzy małe chłopskie dziecko: Jan Kasprowicz. Dookoła niego tylko ziemia i niebo. Te dwa wielkie żywioły uczą go myśleć i czuć. To też te dwa żywioły w swej groźnej surowości, w swym tajemniczym do siebie stosunku staną się kiedyś główną osią, główną treścią jego wielkiej poezji.

Bo Kasprowicz to poeta ziemi i nieba, poeta całem swem jestestwem wrośnięty w tajemnice monotonnych, chleb i życie rodzących łanów, poeta wyrywający się ku tajemnicom niebieskim, całą potęgą swej do wieczności rozstęsknionej duszy.

W późniejszem swem życiu Kasprowicz umiłował Tatrzańskie wierchy. Ż arabeski ich perci i grani odczytywał wielkość Boga i zagadki swej umęczonej duszy, ale żeby istotę jego poezji zrozumieć trzeba się przenieść myślą na Wielkopolskie równiny, trzeba zrozumieć urok i głęboką wielkość tych pozornie odartych z wdzięku przestrzeni.

»Dusza Jana to całe Kujawy, ten trójkąt Kujaw, rozesłany między Inowrocławiem, Kruszwicą a Gniewkowem«.

»On jest duszą tej ziemi«.

On przez całe życie miał przed oczyma:

»Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach,
Za chatami krępy sad wiśniowy«.

I ziemię tę swego dzieciństwa często opisuje, czuje się z nią złączony, w nią wrośnięty:

ten, który powstał z tej ziemi,
który miał w sobie jej trud,
jej tajemniczy jęk,
idący z głębin przestworzy
w południa senny skwar.

Dla tej ziemi modli się o błogosławieństwo:

Daj spiekłym łanom
rzeźwiący deszcz.

Nie zsyłaj gradu,
który nam zboże zsiecze nim dojrzeje.

. . . .

Ze żyta wypleń sporysze
I chwast kąkolu
I w ręku trzymaj te chmury,
by się nie rwały
i nie topiły w ulewie
snopów na polu.

. . . .

Niech mróz spóźniony nie warzy nam kwiecia
na ledwie rozkwitłem drzewie,
na naszych wiśniach i gruszach,
na naszych starych pochyłych jabłoniach...
I wdzięczność rozpal nam w duszach...

Kasprowicz, który na ziemię rodzącą nie patrzał jako turysta z okien wagonu, ale który się wychował wśród najbliższych jej ludzi, wśród chłopów, wie co tej ziemi i jej plonom grozi, wie o co ma Boga dla niej prosić. Chłop nie ma czasu ani ochoty zajmować się drobiazgami życia, choćby te drobiazgi innym wydawały się ważne. Dla chłopa jest jedna i istotna rzecz: musi żyć, musi na życie zarobić, musi wczepić się w ziemię i chleb jej wydrzeć, musi prosić Boga o deszcz i słońce i o miłosierdzie dla swej zatroskanej duszy. To chłopskie trafne rozróżnienie wartości, tę piastową powagę wyniósł Kasprowicz z pod rodzinnej strzechy. Wiedział i rozumiał, że trzeba żyć na ziemi pod skrzydłami Boga. Był zawsze zapatrzony w najistotniejsze zagadnienia człowieka. Nigdy nie traci z oka istotnej tragedji ludzkiej, tragedji istoty, którą ziemia z jej trudem i pokusą odrywa od nieba i której przeczucie Boga i nieba czyni bogactwa ziemi szare i nędzne.

Swej chłopskiej doli nie zapomniał nigdy:

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy proste, jak wy, bez rozkoszy!

To też Kasprowicz olśniony słońcem południa, Kasprowicz wsłuchany w halne wichry Tatr, Kasprowicz stojący u szczytu sławy, nie przestał nigdy w swej istocie być surowym synem — surowej Wielkopolskiej ziemi. I na zawsze ponad monotonnymi ich drogami i monotonnemi, regularnemi polami — unosić się będzie jego potężna pieśń — a łany i wichry Wielkopolskie modlić się będą na zawsze suplikacjami swego największego syna.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

ŻYCIE TO CHWILA

Dzisiejsze życie wre, kipi, pieni się i wylewa poza brzegi. Tętni huraganowem tempem i wszystko w siebie wchłania. Wielkie wartości przerabia na małe — i odwrotnie. Radjo i kino — to zwierciadło dzisiejszego życia. Opętańcza orgja obrazów i dźwięków w jeden chaos splątana!

Hallo! Hallo! Radjostacja — Paryż, Londyn, Monachjum i Leningrad! Tony posuwistego mazura w wiecznej kłótni ze skoczną nutą oberka. Tęskna melodja nokturna i sentymentalne dźwięki Straussowego walca — wpadają w nieokiełznaną a dyszącą zmysłowem upojeniem pieśń tanga...

Grzmot oklasków! Bawi się, szaleje tłum! To życie dzisiejsze!

* * *

W rzęsiście oświetlonej sali poznańskiego kina »Słońce« — premjera! Amerykański dźwiękowiec! — film, co bajońskie sumy pochłonął!...

Na ekranie wstrząsający dramat! — zmaganie się serc ludzkich w walce przyziemnych namiętności. W sali duszna atmosfera zmieszanej woni perfum, ciał ludzkich i zwiędłych kwiatów. Przyćmione światła, tylko palą się źrenice pożądaniem wrażeń, aż serca biją rozgłośnie. Czasami nerwowy uścisk dłoni, co się w ciemnościach spotkały niechcący... Spojrzenia gorejących oczu, ukradkowo rzucane z pod ronda kapelusza. A ze sceny gardłowe dźwięki; tam splot niesamowitych powikłań życiowych, łamie się w nim jedno biedne sieroce serce.

Widz śledzi tę tragedję losu, wpija się chciwym wzrokiem w spazmem cierpienia wykrzywione rysy bohaterów, — bo to jakby jego własne dzieje, karta jego życia, ociekająca krwią serdecznego bólu, serce rwane na strzępy! Czasami rozterka sumień...

Znów huragan oklasków! Bawi się szaleje podniecony tłum! A za oknami rzęsiście oświetlonego kina, w jego blaskach, — co nie grzeją, łachmanami okryta postać drży z zimna i głodu. Z ołowianego nieba spadają śnieżne płaty i wirują, w powietrzu lśnią niby gwiazdeczki. Uśmiechają się do nich wyblakłe starcze źrenice w marzeniu o przeszłości... Usnęło za chwilę, nieboże, snem czystych, męką odkupionych serc. A na górnem piętrze w pieśni i sztucznych blaskach zatracają się dramaty ludzkich istnień, — tych pustych, co żyją — bez jutra! To życie!

Pogasły wreszcie światła i dźwięki umilkły... Noc ciszy i zapomnienia objęła miasto. Ulice puste. Tylko po zaułkach, w grobach suteren i na szczytach poddaszy czai się jeszcze życie, tam westchnienia i jęki nie milkną... bo tylko rozpacz i zbrodnia nie znają błogosławieństwa snu.

I tylko jedno czuwa serce. Wzrokiem — co miłość niesie patrzy na uśpione miasto i dzierży nad niem straż...

* * *

W welonach nocnych cieni coś bieleje...

To pomnik wdzięczności narodu — Chrystus Król! Dokument uroczysty Jego dobrodziejstw! Olbrzymia postać w aureoli złotych promieni góruje nad miastem. Ręce wzniesione chcą objąć, tulić, czy błogosławić...

Za miljony kocha... za miljony cierpi... i nad miljonami czuwa... »Jam jest«! zdaje się mówić — nie bójcie się! Czuwam, by kalejdoskopowy wir dzisiejszego życia nie zagłuszył sumień tu w prastarym grodzie Polski!

Wielkopolska — to mężnych rycerzy dzielnica! — bohaterów, dla których talizman zwycięstw tkwił w hasłach: »Wiara i Ojczyzna!« Karty jej dziejowej przeszłości złotemi głoskami pisane. Ona wie, co to walka z wrażą przemocą, wie co lata ucisku pod batem najeźdźców. Umiała cierpieć zacisnąwszy zęby, lecz i w niewoli dumnego nie ugięła karku, a ideałów wróg nie potrafił wyrwać jej z duszy.

Kolebka polskości i hartu niezłomnego — i teraz nie obniży orlego lotu pradziadów. Jak niegdyś we Lwowie przed Najświętszą Dziewicą Łaskawą odbywały się Kazimierzowe ślubowania, — tak przed dziesiątkiem z górą lat tu — w obliczu Zastępcy Chrystusa, Dostojników Kościoła i Państwa —



zadokumentował naród swe uczucia, domagając się, by w Przemysławowym grodzie stanął pomnik, będący jakoby nowem ślubowaniem, że naród chce przepoić ideą chrystjanizmu wszystkie dziedziny swego życia, — swoją myśl i czyn!

Więc stanęła w spiż zaklęta idea, że po zmartwychwstaniu narodu — nastąpi jego wielkie odrodzenie!...

...A nad tem dziełem czuwa sam Chrystus Król!..

Em. jot. es.

DR. JAN DEDIO

NA JEZIORZE BYTYŃSKIEM

Na rozległem, chłonącem błękit nieba, jeziorze Bytyńskiem (powiat szamotulski, stacja Pólko) rozsiadło się pięć wysp. Trzy większe Pierska, Bytyńska i Komorowska noszą nazwy terytorjów gmin, do których należą. Mieszkańcy nadbrzeżni urządzili na nich pastwiska dla bydła. Prócz tych zwierzęcych mieszkańców — nic tam ciszy nie przerywa, bo rybacy cicho snują się po wodach jeziora, a sieci i wędki też w ciszy chwytają milczący zaklęcie ród rybi.

Nie tak to jednak dawnemi czasami bywało. Tętniło tu bujne życie.

Na wyspie Pierskiej średniowieczna ludność uwijała się po swym grodzie, wznosiła ceglane budynki. Dziś pozostał z dawnego grodu tylko wysoki wał (o obwodzie 311 kroków), dwie fosy: zewnętrzna (13 kr. szeroka), wewnętrzna (12 kr.) i gruzy wewnątrz tego nieznanego obronnego osiedla.

Na wyspie Komorowskiej, — porosłej dziś silnie drzewami i krzewami, na której wśród splątanych pnączów dzikiego chmielu jak wśród lian amerykańskich przedzierać się trzeba — o tysiące lat wcześniej kwitła ludna osada przedhistoryczna, zmieniały się pokolenia za pokoleniami, kobiety przędły konopie lub len na odzienie, mężczyźni obrabiali broń na zwierza i przygotowywali narzędzia do pracy w polu.

Dla zbadania tej wyspy pod względem archeologicznym, dla wydarcia ziemi tajemnicy o ludności, która tu przez wieki żyła, przybyła latem 1926 r. na sąsiednią wyspę Bytyńską ekspedycja naukowa z Poznania pod kierownictwem znakomitego prehistoryka prof. Józefa Kostrzewskiego. Łodziami udali się uczestnicy ekspedycji na wyspę Komorowską. Sieci rybackie przy brzegu świadczyły, że człowiek bywa tu czasem. Przedzierając się przez gnatwaninę drzew i krzewów dotarli badacze do wnętrza wyspy, na wał obronny grodziska — wysoki na 8 m. Wał otaczał kotlinowate, owalne wgłębienie. Tu dopiero był raj dla badaczy. Przez szereg tygodni przybywali tu codziennie, by szukać, odnajdywać, odkopywać ślady po ludności, która tu żyła przed wiekami. Zabytki wykopane z wnętrza wału wysyłano do Działu Przedhistorycznego Muz. Wkp. w Poznaniu. Z zabytków odczytano przeszłość wyspy.



Bamberka w stroju latowym. (Ze zbiorów ludoznawczych im. Heleny i Wiesławy Cichowicz w Poznaniu).

Od pradawnych czasów żyła tu ludność, która narzędzia swe wyrabiała z kamienia (gładzonego) czyli była to ludność epoki kamiennej młodszej (neolitu — 5.000—2.000 lat przed Chr.). Coraz to inny sposób obrabiania krzemienia świadczy, że ludność zamieszkująca wyspę, przynajmniej 4 razy się zmieniała. — Po ludności z epoki kamiennej zamieszkiwała wyspę na przełomie epoki bronzowej i żelaznej (900—600 przed Chr.) ludność o wysokiej jak na owe czasy kulturze, która budowała chaty słupowe i posiadała wytworną ceramikę. Ludność ta paliła ciała zmarłych i chowała je w naczyniach glinianych (popielnicach) na wielkich cmentarzyskach. Przęśliczki do przędzenia lnu, liczne szczątki naczyń, polepy od chat pierwotnych, podłoga ułożona ze skorup naczyń, ciemne plamy pozostałe po słupach, podtrzymujących chatę — to zabytki, ślady po tej ludności, której kulturę — od głównego jej centrum Łużyc — zwie się »łużycką«, a którą uczeni polscy i czescy wbrew Niemcom — przypisują Słowianom. Ale nietylko te pozostałości świadczą o pobycie na wyspie ludności kultury »łużyckiej«. Ludność ta otoczyła nadto wałem swą siedzibę, gdy zagrozili jej najeźdźcy z północy. Dla obrony przed tym wrogiem, który swych zmarłych chował w grobach skrzynkowych, — ludność zamieszkująca wyspę Komorowską, zmieniła swoją osadę w grodzisko obronne. Jakie były losy zmagań się z najeźdźcą, czy ostała się ludność kultury »łużyckiej« w swem grodzisku, w jakim stopniu uległa przemocy i kiedy się z niej wyzwoliła, zabytki nie mówią. Spalone chaty zdają się świadczyć, że uległa ona w walce z północnym najeźdźcą. Natomiast szczątki ceramiki typu wczesno-historycznego mówią nam wyraźnie, że schronienia tego używała w tysiąc lat później ludność słowiańska w okresie wczesno-historycznym (od 6—9 w. po Chr.).

Wielkopolska posiada na swym obszarze wzwyż 300 grodzisk przedhistorycznych różnego typu. Stosunkowo mało jest grodzisk zamieszkiwanych przez ludność »łużycką« którychby nikt po niej już nie używał. Więcej znacznie jest takich grodzisk, które po ludności o kulturze »łużyckiej« zajęła ludność

wczesno-historyczna — tak jak się to stało na wyspie Komorowskiej. Najwięcej zaś takich, które zbudowała dopiero ludność wczesnohistoryczna słowiańska dla obrony przed napierającemi, dążącemi do jej eksterminacji, plemionami germańskiemi.

Co nam daje badanie grodzisk? Oczywiście wiedzę o tem, jak żyli nasi przodkowie. Następnie pogłębienie naszego stosunku do ziemi, na której mieszkamy. Tysiące lat przed nami żyły tu, pracowały, radowały się, cierpiały, walczyły i marły pokolenia. Uświadomiwszy sobie tę prawdę, stajemy się pokorniejsi i głębsi i szczerzej pragniemy czemś dobrem, szlachetnem zaznaczyć ślad naszego pobytu na ziemi.

Wreszcie fachowe badanie grodzisk wczesno-historycznych mówi nam o przeszłości, której nie zapisała jeszcze historja, a którą osnuła tęcza przepięknej legendy. Jestto ta przeszłość, te dzieje, które pierwsze przemówiły do naszej dziecięcej wyobraźni i utrwaliły się w niej na zawsze. Badanie naukowe rzuca granity wiedzy pod tę przecudną tęczę...

WIESŁAWA CICHOWICZ.

WYPRAWNY KUFER BAMBERKI

Bamberki, mieszkanki wsi na peryferji miasta Poznania, jak Jeżyc, św. Łazarza, Wildy, Dębca, Winiar, Rataj i t. d., które dziś już po części są włączone do miasta słynęły z elegancji, bogactwa i szykowności. Ukazanie się Bamberki na ulicach miasta w świeżo uprasowanym, chwaszczącym stroju, zawsze tworzyło pewnego rodzaju sensację dla przechodniów, których oczy niby magnes, na siebie kierowała. Jak i gdzie przechowuje ona swe suknie? Takie sute, olbrzymie! Z pewnością dużo miejsca potrzebują? Oj nie. Bamberka niezmiernie zręcznie je składać umie i chowa je w dużym drewnianym kufrze z wiekiem wypukłem, koloru mahoniów. Choć duży, wierzyć się nie chce, że tyle w sobie pomieścić może. Kufer taki należy do wyprawy ślubnej Bamberki.

Wiedzieć nam trzeba, że każda Bamberka posiada conajmniej 15 sukien odświętnych, nie licząc codziennych, a wedle zamożności nawet znacznie więcej. Niechęt-



Kornet z przodu. Ze zbior. H. i W. Cichowicz.



Kornet z tyłu. Ze zbiorów H. i W. Cichowicz.



Bamberki „obraźniczki", które niosą obrazy (feretrony) w dzień Bożego Ciała. Wszystkie cztery muszą być jednakowo ubrane. (Ze zbiorów ludozn. im. Heleny i Wiesławy Cichowicz).

nie wpuszcza obcych do swego mieszkania i dopiero po zawarciu bliższej znajomości zaprasza i otwiera bogato zaopatrzony kufer, aby pochwalić się swoją wyprawą. Uchyla wieko. — Co tam za barwne cuda, aż oczy na wierzch wychodzą! Wzdłuż wieka wewnątrz pociągnięty sznurek a na nim zawieszony cały szereg bieli się haftowanych i koronkowych kryzików. Po lewej stronie kufra »półskrzynek« rodzaj szufladki do wstążek o deseniach wzorzystych, sznurów korali prawych z medalikami i t. p. drobnostek; po prawej stronie »pudełko« do czepków, spoczywające na listewkach drewnianych. Gdyby czasu stało, trzebaby się każdemu z osobna przyjrzeć. Boć to prawdziwe cacka, które wyszły z pod paluszków specjalistek hafciarek. Czepki te bywają tiulowe lub batystowe, zaopatrzone w 4 szerokie »bandy«, z których dwie wiąże się w kokardę do przodu a dwie do tyłu. Wokoło czepka owija się zręcznie »niedwabną« (jedwabną) chustkę kolorową karmazynową, szafirową lub zieloną z wielobarwnym mieniącym się brzegiem, (stąd także nazwa chustki »Kaczorowa«) zawiązuje ją się na samym środku głowy »w pętelki«. Tak zawiązaną noszą panny, a kobiety tylko »do obrazu« w czasie procesji. Chustkę karmazynową używają do białego stroju, »jasną« czyli szafirową do czerwonego i zielonego, a zieloną, gdy inna spódnica i inny kaftan.

Kiedy wyjmie się z kufra »pudełko« pod nim roztacza się widok najpyszniejszych barwnych stroi z materjałów kosztownych i niezmiernie trwałych, bo tradycją jest Bamberki kupować to, co najlepsze. Widzimy najpierw strój szafirowy, karmazynowy, zielony, biały w kwiatki, brązowy, granatowy i t. d., i t. d., »kaftuny« czarne, latowe jedwabne, alpakowe, oraz aksamitne watowane zimowe, cały szereg spódników białych oraz »franelowych« (flanelowych) i co najmniej 3 watówki, co jedna to dłuższa, które Bamberki noszą zimą i latem, wszystkie 3 równocześnie na sobie. Spoczywają one na »Kiszce« przyszyłej do »gorsetu« rodzaj podstaniczka i dają wymaganą sutość kulistą spódnicy. A co tam za szale tureckie grube wełniste noszone w dni mroźne oraz przedziwne cienkie wełniane lub też jedwabne na dni cieplejsze. Chustki tiulowe i batysto-

we ręcznie haftowane, gdzie przeważają motywy winogronowe i serduszka; »kieszenie« perełkowe do pieniędzy noszone pod fartuchem. Fartuchy białe oraz barwne i ślicznie haftowane bandy do fartuchów. Jednem słowem ogromne bogactwo. Bamberki zawsze lubiły pięknie się stroić i bardzo akuratnie. Wszystko musiało być jak z igły zdjęte i wyglądać »szyknie«. Same własnoręcznie piorą, »glanzstärką odświeżają« i prasują fartuchy, chustki, kryziki i czepki, które bardzo muszą być sztywne. Do tej pracy zabierają się zazwyczaj przed Bożem Ciałem, prasują przez kilka dni tę niezliczoną ilość stroi i to już potem wytrwać musi na cały rok. Jednakże przed każdorazowem użyciem stroju Bamberka go odprasowuje i stale wygląda jak laleczka z porcelany.

Na wielkie uroczystości kościelne i świeckie jak Boże Ciało i śluby stroją się dziewczęta w wspaniałe »Kornety« zręcznie ułożone z kwiatów różnobarwnych i wstążeczek przeźroczystych tak zw. »wiatrówek«. Kornety nie mieszczą się w kufrze lecz w osobnej szafce na ten cel zrobionej i zaopatrzonej w szklane drzwiczki lub też pod dużym szklanym kloszem. Przywilej noszenia kornetów należy się pannom, które kładą go ostatni raz na głowę w dzień ślubu a potem przechowują go jako cenną pamiątkę dla dzieci swoich.

JANUSZ OLSZANOWSKI

QUO VADIS MUNDE?

Podsłuchana rozmowa w redakcji pewnego poczytnego pisma z pewnym redaktorem.

— Moje uszanowanie panu Redaktorowi.

— Moje uszanowanie Radco — zacny autorze! Pan już z podróży? — Co — objechało się z pół Europy? — W czepkuś się pan rodził. — W dzisiejszych mortusowych czasach podróżować — to luxus!

— Potrzeba — matką wynalazków! — Redaktorze. Kto chce zbierać — musi siać, albo zbierać cudze posiewy... odpowiada skromnie zagadnięty.

— Acha, — czuję w powietrzu apel do teki redaktorskiej... pewnieś tam spłodził w podróży jakie arcydzieło?... O nawet widzę, wyglądający z kieszeni dyskretnie rąbek rękopisu... Pokaż pan. — Co to. — Kartki z podróży?... kinematograficzne zdjęcia z okien wagonu może?... Najnowsze wynalazki?... Podobno wynaleziono proszek, co daje przy rozpylaniu ciepło, przewyższające produkcję wszystkich kaloryferów nagromadzonych w pokoju... Kapitalne! Klapa wszystkich przedsiębiorstw! A może znalazłeś elixir odmładzający? — to miałoby powodzenie wszechświatowe!

— Nie, Panie Redaktorze, — to powieść! — z flegmą odpowiada autor. — Powieść? — z półtonowem obniżeniem głosu — zawiedziony redaktor. Powieści mamy powódź — kto żyje — pisze powieści. Specjaliści, niespecjaliści, domorosłe i szkołorosłe talenty... omal że nie dzisiejsze cudowne dzieci w kołyskach. Pensjonarki, studentki, różne despe-

ratki — bezrobotni — dzisiaj to wprost orgja powieści.

Autor wysłuchuje z filozoficznym spokojem elokwencji szefa biura »pewnej redakcji pewnego poczytnego pisma«.

— Gadajże pan, coś nowego spaskudził — aktualne? Czy przedewszystkiem rusza się — czy żyje — tętni — skacze — bodajby koziołki fikało, byle z temperamentem, z werwą, z życiem!... Głód wrażeń dzisiaj więc... radjo, kino, tempo amerykańskie... to nervus rerum dzisiejszego społeczeństwa... Trzeba mu dogadzać!

Tak — panie Redaktorze, — spokojnie i skromnie zabiera głos autor. Moja powieść istotnie »rusza się« mówiąc językiem pana Redaktora, a raczej porusza nerwy głęboko, najsubtelniej żyje prawdą, bijącą z jej kart, tętni aktualnością pierwszorzędnych zagadnień... zapalał się autor.

Za-ga-dnień? — W powieści?... Hm... Hm... kółka z dymu papierosa, trzymanego nerwowo w palcach wylatują z tytaniczną siłą, napełniając sanktuarjum redaktorskie welonami mgieł...

— Panie Redaktorze — z przypływającą energją ciągnie autor, odsuwając z przed nosa kłęby brunatne. — Dzisiejsze społeczeństwo jest chore... Ten głód wrażeń, gorączka czynu, pośpiech, ruch — to oznaki degeneracji... to niebezpieczeństwo. Eliminujecie potrosze Boga ze wszystkich dziedzin życia zbiorowego...

— ? —

— Polityka obywa się bez Boga... prawo... medycyna wreszcie literatura i sztuka... Stąd głód wrażeń... Duszę współczesnego świata żre pustka...

Rzym pogański szalał w przededniu upadku...

— Idź pan do sto piorunów! — wrzasnął redaktor wyprowadzony z równowagi. — Redakcja — to nie antykwarnia dla antyków starożytności...

— Rozumiem, panie Redaktorze, — w głosie autora drżała gołębia cierpliwość i stoicka wyrozumiałość. — Ale nasi nauczyciele przeszłości Mickiewicz, Prus, Sienkiewicz, Wyspiański, np. Sienkiewicz w swej powieści »Bez dogmatu«... już poruszył chorobę wieku, że bez dogmatu...

— Z księżyca spadłeś pan, czy co? — Fluid najwyższego napięcia napełnił złowróżbnie świątynię bezwzględnego autorytetu.

— Dzisiejsza powieść ma bawić, a nie — uczyć! wybuchnął. A zresztą czego pan chcesz od naszego społeczeństwa, ono ma swój charakter wybitny; tu jest tężyzna, wyrobiona latami niewoli, która wiążąc ciało, nie nałożyła pęt na ducha. — Wszak dało ono zbiorowy wyraz swego kultu dla chrystjanizmu. — Poznań wystawił wspaniały pomnik Chrystusa Króla — stoi w najwybitniejszem miejscu!

— Łatwiej postawić Mu pomnik ze spiżu czy marmuru, niż przepoić nim życie — jako Alfą i Omegą... wtrącił skromnie autor...

— Mój Radco łaskawy — pojednawczy ton redaktora przerwał kłopotliwą ciszę. — Wśród pańskich powag przeszłości znalazł się jednak genjusz ostatniej doby, co wyrzekłszy niegdyś pamiętne słowa »Polska — to wielka rzecz« powiedział gdzieindziej: »To tylko jest — co żyje«. — Tamci budowali przeszłość — a do nas należy teraźniejszość — bronił się sentencjonalnie...

— Ale oni żyli wielkiemi ideami, panie redaktorze, a my — tworzymy teraźniejszość, — bez jutra bo rozmieniamy kapitał wielkich wartości na drobną monetę...

— A zatem, panie Redaktorze — uważasz pan moją powieść za — nieaktualną, czyli — nadaje się do.. kosza? — pytał sfinksowo autor.

— Ależ, zacny panie autorze — skąd takie czarne przypuszczenia! W głosie drżała napróżno hamowana radość na widok, że autor wstaje...

— Na razie tylko... zaczekamy... bo nadprodukcja powieści...

— Więc na razie — z naciskiem, powtórzył autor, pójdzie moja powieść do?...

— Do – archiwum. — Szanowny Panie radco dobrodzieju — do archiwum!..,

ROMANA DEDIOWA

Z ŻYCIA KLAUDJI Z DZIAŁYŃSKICH POTOCKIEJ

(27/VIII. 1802 — 8/VI. 1836).

Przez szumiące, pełne uroku i piękna lasy trzebawskie jechało słonecznem popołudniem 1824 r. dwoje młodych ludzi. Jechali konno — radośni, piękni i szczęśliwi. Przed kilku godzinami zaledwie w pałacu konarzewskim przez ślub na zawsze złączyli swe losy, przed chwilą pożegnali najbliższą rodzinę, a teraz, tak jak sobie ułożyła młoda pani, sami tylko, we dwoje ruszyli w te zadumane lasy i skierowali konie ku błękitnym falom jeziora Góreckiego. Spełniało się dziewczęce marzenie panny Klaudyny Działyńskiej: w najcudowniejszym zakątku swych włości, na wyspie rzuconej wśród fal ukochanego jeziora, w bezwzględnej ciszy, pogodzie i szczęściu, przeżyje z umiłowanym swym młodym małżonkiem pierwsze chwile nowego życia;

Na wyspie czekał na przyjęcie młodej pary piękny zameczek. Zbudował go jako dar ślubny dla swej ukochanej, jedynej siostry, Tytus Działyński. Chciał, by Klaudyna w swem szczęściu nie zapomniała o nim i o szczęśliwie przeżytem dzieciństwie.

Zaczęła się sielanka. »Szczęście moje jest zbyt wielkie, trudno, aby trwało« — pisała Klaudyna. I rzeczywiście szczęście nie trwało długo. W sercach tych dwojga ulubieńców fortuny obok uczucia miłości wzajemnej gorzała miłość ku ojczyźnie cierpiącej w niewoli, tak żarliwa, że gdy dobiegła ich wieść o wybuchu powstania w Warszawie w dniu 29 listopada 1830 r. — rzucili wszystko — i pospieszyli walczyć o wolność i niepodległość.

Bernard zaczyna służbę od prostego żołnierza — i w ogniu walk dosługuje się stopnia kapitana, Klaudja staje się siostrą miłosierdzia, nieustraszoną sanitarjuszką zbierającą rannych na polu bitwy, niezmordowaną pielęgniarką, nie cofającą się przed obsługiwaniem cholerycznych. Przy pracy poznały się bliżej i zawiązały dozgonną przyjaźń z Emilją Sczaniecką. Po upadku powstania towarzyszyły te siostry miłosierdzia chorym wywożonym wraz z cofającą się armją polską. W Modlinie Klaudja przespała noc na gołej ziemi, bo wiązkę słomy przeznaczoną dla siebie, oddała rannemu żołnierzowi.

Zaledwie stanęła na własnej ziemi, otrzymała od władz policyjnych rozkaz opuszczenia jej w ciągu 24 godzin, — bo Polka, która popierała swą pracą i pieniądzmi powstanie — była niebezpieczną dla państwa pruskiego.

Odtąd — aż do chwili zgonu 8 czerwca 1836. — była opiekunką wychodźców, tych, co przed zsyłką na Sybir czy więzieniem pruskiem uchodzili za granicę. Zwano ją »aniołem emigracji«, bo wszystko swoje: siły, pracę i pieniądze oddała na usługi cierpiących nędzę braci.

Wstydziłabym się dziś być bogatą. Każdy talar jałmużny opłaca dziś nieledwie życie człowieka — pisała do matki męża.

W Dreźnie poznał ją Adam Mickiewicz i taką czcią, zachwytem natchnęła go jej osobowość, że Klaudji ofiarował autograf »III Części Dziadów« i prosił ją o pozwolenie dedykowania jej »Pana Tadeusza«. Patrząc na nią, pisał: »Ta kobieta godzi się z rodzajem ludzkim i może natchnąć znowu wiarę w cnotę i dobroć na ziemi. Zdaje mi się, że życie ma tylko na parę godzin, a przecież znajduje zawsze siły na służenie innym. Lekarz Józef Szczapiński, który leczył ją w ostatniej chorobie i nie zdołał 34-roletniej Klaudji utrzymać przy życiu, porzucił zawód lekarza, bo co warta jest wiedza, skoro takiej istoty nie potrafiła ocalić.

W życiorysach Klaudji wydanych niedługo po jej śmierci — wyrażono przekonanie, że w wolnej Polsce na Wawelu stanie niezawodnie kaplica poświęcona jej pamięci. Na



Wawelu niema Klaudji do dziś nawet tablicy pamiątkowej, ale czas, by w sercach dziewcząt obudziła się miłość dla tej niezwykle szlachetnej i pięknej postaci niewieściej, o której mówiąc najtrzeźwiejsi ludzie wzruszali się do głębi i zdawali się wierzyć, że jak Eloe, zrodzona była z łzy Chrystusowej, wylanej na Golgocie nad narodami.

Jezioro Góreckie. Wyspa z zameczkiem Klaudyny Potockiej.

DR. JÓZEF KOSTRZEWSKI (prof. Uniw. Pozn.)

NAJDAWNIEJSI „MAŁOPOLANIE“ w WIELKOPOLSCE

Cztery tysiące lat temu mieszkała na obszarze Wielkopolski ludność pochodzenia nadśródziemnomorskiego o trybie życia koczowniczym. Rozbijała ona swe namioty na wydmach piaszczystych w pobliżu wód bieżących i jezior, ponieważ były to jedyne obszary niezalesione wśród rozległej puszczy, pokrywającej wówczas zwartym płaszczem całą niemal Wielkopolskę z wyjątkiem Kujaw. Ludność ta żyła z polowania na zwierzynę zaludniającą licznie puszczę, a poza tem nie gardziła też rybami i ptactwem wodnem. Wśród narzędzi krzemiennych pozostawionych przez nią na miejscach postoju szczególnie licznie spotykamy grociki do strzał oraz zadziary do harpun kościanych i rogowych, służących do połowu ryb.

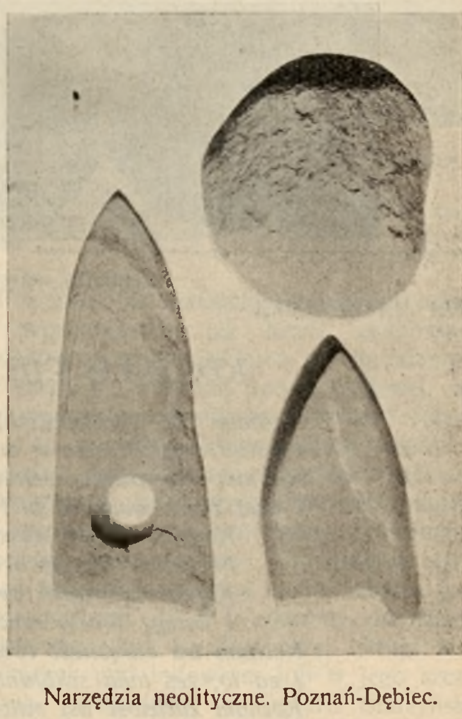
W tym samym czasie żyła na urodzajnych terenach lessowych Małopolski ludność rolnicza pochodzenia naddunajskiego, uprawiająca kilka gatunków pszenicy, orkisz, owies i jęczmień, a może i żyto, a z zwierząt domowych hodująca krowy, kozy, świnie a prawdopodobnie i konie, jak wynika z tego, że kości tych zwierząt znajdują się w osadach przez nią pozostawionych. Osady te składały się z chat zagłębionych w ziemię, t. zw. ziemianek, przykrywanych dachem, plecionym z chróstu i uszczelnianym polepą glinianą. Narzędzia swe wyrabiała ludność ta z rogu, kości i kamieni, która potrafiła polerować, przepiłowywać i przewiercać na wylot bez pomocy metalu, wówczas zupełnie nieznanego. Pokarmy i napoje gotowała ona i przechowywała w garnkach glinianych ręcznie lepionych, doskonałej roboty, które są najstarszemi naczyniami glinianemi w Polsce. Naczynia te wzorowane na formach dyni, są zwykle bogato zdobione wzorami spiralnemi lub kątowemi, pokrywającemi całą powierzchnię w postaci wstęg, stąd też mówimy tu zwykle o ceramice wstęgowej.

Skoro ludności tej, przybyłej z Moraw zaczęło być za ciasno w drugiej ojczyźnie, jaką znalazła w okolicy Krakowa i Sandomierza, bardziej przedsiębiorcze jednostki wyruszyły na północ i wschód w poszukiwaniu nowych terenów korzystnych dla osadnictwa. Takie tereny znaleźli emigranci z Małopolski z jednej strony nad górnym Dniestrem, na czarnoziemiach Małopolski Wschodniej, z drugiej zaś na żyznych glebach Kujaw i Ziemi Chełmińskiej. Poza temi obszarami spotykamy ślady osadnictwa ludności najstarszej ceramiki wstęgowej tylko wyjątkowo. W obrębie dawnej Wielkopolski historycznej znaleziono dotąd ślady osad podobnych w Parchaniu, w pow. inowrocławskim, w Choceniu, w pow. włocławskim i w Poznaniu (na Szelągu). Niestety, żadna z tych osad nie została dotąd bliżej zbadana. Z wszystkich trzech miejscowości posiadamy

ułamki naczyń z typowemi ozdobami, z Chocenia poza tem nieco narzędzi krzemiennych, z Parchania motykę z rogu jeleniego.

Znacznie lepiej znamy kulturę materjalną drugiej fali ludności rolniczej z Małopolski, która przybyła do Wielkopolski w kilka wieków po pierwszej grupie wychodźców, przedstawicieli starszej ceramiki wstęgowej. W tym czasie w Małopolsce dawne kuliste formy naczyń wyszły już z użycia a miejsce ich zajęły naczynia gruszkowate z wyodrębnioną szyjką, zdobione najczęściej rzędami drobnych kreseczek, wykonywanych kółkiem zębatem. Do tej młodszej fazy ceramiki wstęgowej z ornamentyką kłutą należą dwie osady odkryte w latach 1930 i 1931 na przedmieściu Poznania, Dębcu, oraz cztery dalsze stanowiska wielkopolskie: w Iwnie, w pow. szubińskim, w Komorowie, w pow. szamotulskim, w Broniewicach, w pow. mogileńskim i w Pietrzykowie, w pow. słupeckim. Jedynie osady odkryte w Poznaniu zostały dotąd dokładniej zbadane. Znaleziono tu ślady kilku chat typu ziemianek, w których znaleziono częściowo bardzo dobrze zachowane naczynia bogato zdobione, toporki kamienne, drobne narzędzia krzemienne i odpadki powstałe przy ich fabrykacji, wreszcie duża ilość kości zwierzęcych i innych szczątków organicznych, które pozwalają nam odtworzyć spis potraw mieszkańców. Zastanawia stosunkowo liczne występowanie obok kości zwierząt domowych także kości i rogów zwierząt dzikich, mianowicie sarny, bobra, żbika, kuny i zająca, co dowodziłoby, że rolnicza ludność małopolska, przystosowując się do zmienionego otoczenia, zaczęła w Wielkopolsce dodatkowo uprawiać myśliwstwo, bądź to dla urozmaicenia jadłospisu, bądź też dla zdobycia cennych futer. Obecność ości i łusek rybich w ziemiankach dowodzi, że łowiono także ryby (jak się zdaje szczupaki), a obfite występowanie muszli rzecznych, tworzących w dwóch domostwach grube, zbite pokłady, świadczy, że i małże uważane były wówczas za przysmak. Na dnie jednej z chat znalazła się studzienka zamulona, której dno sięgało 2·70 m. poniżej dzisiejszej powierzchni.

W czasie przybycia tej drugiej fali ludności małopolskiej do Wielkopolski, Polska zachodnia zajęta była przez lud rolniczy pochodzenia jutlandzkiego, t. zw. kulturę pucharów lejkowatych, jak ją nazywamy według przewodniej formy typowych dla niej naczyń glinianych. Przybysze południowi pozostawali widocznie w bliższych stosunkach z tą ludnością północną, skoro wyjątkowo znajduje się zabytki charakterystyczne dla obu grup zmieszane z sobą we wspólnej ziemiance, jak to stwierdzono np. w Chełmży na Pomorzu, a innym dowodem stosunków wzajemnych jest pewna zmiana formy naczyń młodszej ceramiki wstęgowej, które pod wpływem ceramiki północnej uzyskują wyraźnie wyodrębnioną cylindryczną szyjkę i dwa ucha u jej nasady, czego w Małopolsce nie spotykamy. Późniejsze losy obu imigracyj małopolskich nie są nam znane, prawdopodobnie roztopiły się one w ludności miejscowej. Zaznaczone wyżej zmiany w trybie życia gospodarczego oraz uleganie wpływom ludności tubylczej w dziedzinie kultury materjalnej, wyrażające się w przejmowaniu od niej pewnych cech jej ceramiki, mogłyby być pewnemi świadectwami takiej stopniowej asymilacji. Imigracji małopolskiej ludności



Narzędzia neolityczne. Poznań-Dębiec.

ceramiki wstęgowej zawdzięcza Wielkopolska znajomość ceramiki i ulepszonej techniki obróbki kamienia oraz tak pierwszorzędną zdobycz gospodarczą, jaką stanowi rolnictwo i hodowla bydła. Oczywiście nie potrzeba zaznaczać, że mówiąc o »Małcpolanach« w młodszej epoce kamiennej, mamy na myśli jedynie pochodzenie geograficzne, nie zaś przynależność plemienną i językową, bo o narodowości ludów zamieszkujących Polskę przed czteroma tysiącami lat nie potrafimy nic bliższego powiedzieć, chociażby dlatego, że dzisiejsze narody wówczas jeszcze nie istniały.

Kończąc, nie mogę pominąć okazji, żeby nie zaapelować do wszystkich osób interesujących się najstarszą przeszłością Polski o współdziałanie w ratowaniu i udostępnianiu nauce zabytków przedhistorycznych. Wiele bezcennych dokumentów prehistorycznych niszczeje wciąż jeszcze przy pracach polnych, budowlanych, meljoracyjnych i wielu innych okazjach. Dużo cennych zabytków przechowuje się w domach prywatnych i w trudno dostępnych zbiorkach szkolnych, ginąc w ten spcsób dla nauki. Przeważnie zresztą okazy poszczególne w takich zbiorach są nieoznaczone, tak że nawet gdy zostaną ofiarowane wreszcie do jakiegoś muzeum prehistorycznego, to jako pozbawione t. zw. »metryki« nie posiadają prawie żadnej wartości naukowej. Nauka o pradziejach w krajach sąsiednich rozwija się w szybkiem tempie, dając pokaźne rezultaty. Jeżeli chcemy dotrzymać kroku zagranicy, szczególnie nauce niemieckiej nie wolno nam dłużej tolerować dotychczasowego marnotrawstwa cennych dokumentów ilustrujących życie i kulturę naszych przodków. Dokumentem prehistorycznym jest nie tylko okazały toporek kamienny, ozdobne bransoleta czy naszyjnik bronzowy oraz dobrze zachowana popielnica, lecz także niepokaźne drobne narzędzia krzemienne a nawet ułamki naczyń przedhistorycznych, byle tylko było wiadomem, skąd one pochodzą i w jakich warunkach były znalezione. Nie niszczmy więc żadnych, choćby najmniej pozornych zabytków przeddziejowych, ratujmy je od zagłady i współpracujmy z nauką polską, oddając znajdujące się w naszem posiadaniu zabytki do zbiorów publicznych.



Ceramika wstęgowa. Poznań—Dębiec.

NINA MAGIEROWA

KOCHAM CIĘ WIELKOPOLSKO...

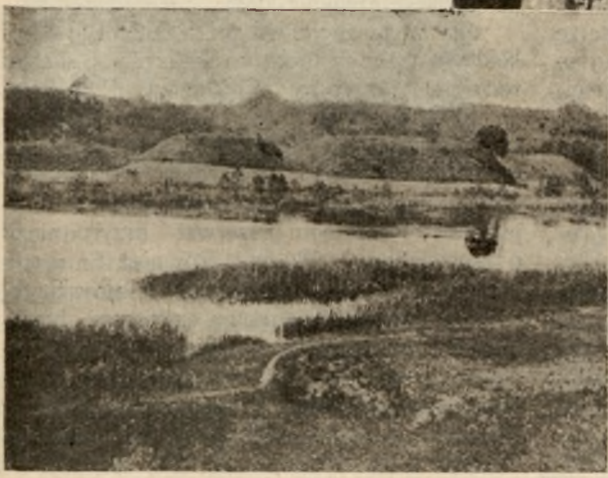
Kocham Cię Wielkopolsko, spichrzu zdrowego ziarna,
Krynico czystych serc w miłości Polski stężałych;
Kocham Cię, piasku pełna, torfowisk ziemio czarna
I trud twych wodnych piel i ciszę dymów twych białych.
Kocham wygodę twych dróg, aleje drzew na straży,
Niedawne bogactwo chat, gdzie bieda dzisiaj gości,
Kamienną świątyń twych powagę i glorję płynącą od ołtarzy
I wstęgę Warty rzuconą na przełaj twych całości.
Kocham też odrębność twoją pełną dziwnej treści
I za to, żeś taka schludna, taka gospodarna . . .
Kocham zaciętość ust milczących aż do boleści —
Kocham Cię Wielkopolsko, spichrzu zdrowego ziarna.

DR. ADAM WODZICZKO, Prof. Uniw. Pozn.

Park Narodowy w Ludwikowie pod Poznaniem

»Parki Narodowe« pierwsi tworzyli Amerykanie Stanów Zjednoczonych, zabezpieczając okolice o niezwykłych pięknościach przyrody jako nietykalne po wsze czasy rezerwaty — »dla zdrowia i rozrywki ludności«. Za przykładem Ameryki powstają parki narodowe w różnych krajach Europy, wszędzie tam, gdzie dochowała się jeszcze pierwotna wolna przyroda. W Polsce posiadamy już Park Narodowy w Białowieży, zabezpieczający na przestrzeni 46 km^2 najpiękniejszą partję Puszczy Białowieskiej, największego dziś lasu na niżu Europy i Park Narodowy w Pieninach o obszarze 732 ha, chroniący najciekawszą część przełomu Dunajca, która przedstawia jedną z największych osobliwości przyrodniczych Europy. W trakcie realizacji znajduje się Park Narodowy w Tatrach, na Czarnej Horze w Karpatach Wschodnich i w Górach Świętokrzyskich.

Jezioro Budzyńskie. Oz porozrywany przekopami na szereg pagórków.





Stary dąb nad jeziorem Góreckiem „z pisklętami w dziupli".
Fot. Dr. St. Dedio

Mniej znanem jest natomiast, że również w Wielkopolsce posiadamy już utworzony w roku ubiegłym Park Narodowy w Ludwikowie pod Poznaniem, którego uroczyste otwarcie ma nastąpić we wrześniu r. b., w czasie Zjazdu Lekarzy i Przyrodników Polskich w Poznaniu.

Okolica Ludwikowa to najpiękniejszy teren Wielkopolski. O jego popularności najlepiej świadczą tłumy wycieczkowców, których liczne pociągi dowożą każdego lata z Poznania. Na niewielkiej przestrzeni mamy tu nagromadzone tak liczne osobliwości i zabytki przyrody, że teren ten można uważać jakby za muzeum przyrody żywej, zasługujące ze wszech miar na ochronę i opiekę.

Pod względem geologicznym mamy tu przykład ukształtowanego przez lodowiec krajobrazu t. zw. moreny czołowej z licznemi pagórkami pokrytemi lasem i dolinami, zajętemi przez jeziora i torfowiska. Przy stacji kolejowej widzimy rzadki zabytek geologiczny t. zw. oz, t. j. podobny do nasypu kolejowego wał usypany przez strugi wód płynących pod lodowcem lub w jego szczelinach. Wchodzący w jezioro Budzyńskie

koniec wału rozerwany jest przekopami na pięć pagórków, czego dokonał zapewno człowiek przedhistoryczny w celach obronnych. Przypuszczenie to popierają ślady ceramiki przedhistorycznej, znajdywane na największym z pagórków, który otoczony dawniej wodą, mógł w razie niebezpieczeństwa przedstawiać dogodne schronienie.

Na szczególną uwagę zasługuje szata roślinna, której obok bogatej rzeźby terenu okolica Ludwikowa w głównej mierze zawdzięcza swój urok. Spotykamy tu mało zmienione przez gospodarkę ludzką lasy szpilkowe, liściaste i mieszane, różne typy torfowisk płaskich i przejściowych, stepową roślinność słonecznych, pontyjskich pagórków, urocze jeziora Kociołek, Skrzynka i Góreckie, z których każde zarasta w odmienny sposób. Zbiorowiska te kryją liczne rzadkie i piękne gatunki roślin, często o charakterze zabytków przyrodniczych. W lesie mieszanym na południowym brzegu jeziora Góreckiego występuje rzadki gatunek drzewa leśnego, zwany jarząbem klonowym, inaczej brekinią a na wschodzie bereką. W runie leśnem spotykamy tak piękne kwiaty, jak pachnące storczyki podkolany, okazałe złotogłowy, wyniosłe orliki, bezłodygowe dziewięćsiły, które w ostatnich latach stawały się coraz rzadsze wskutek bezkarnego niszczenia przez niekulturalnych wycieczkowców. Po drodze od stacji kolejowej do jeziora Góreckiego spotykamy takie osobliwości florystyczne, jak goździk siny, roślina zachodnia, obecnie tylko tu występująca w Wielkopolsce, lub liljowy wężymord rzadka u nas roślina o zasięgu południowo-wschodnim (element pontyjski). W jeziorach Kociołku i Budzyńskiem występuje rzadka roślina wodna jezierza morska, zabytek jakiegoś cieplejszego okresu klimatycznego, a na pływającej darni torfowców nad jeziorem Skrzynką rosną owadożerne rosiczki (okrągłolistna i długolistna) i rzadka dziś u nas roślina północna bagnica, której kłącza utworzyły ongiś bogate pokłady torfów.

Nie mniej urozmaicony jest świat zwierzęcy. W lasach spotykamy obfitość ptactwa śpiewającego, wcale często spotkać można rzadką gdzieindziej żołnę czarną. Nieszkodliwy wąż miedzianka gniewosz poza Ludwikowem znany jest tylko z pod Nakła, a zaskroniec nigdzie nie występuje tak często jak tutaj, — niestety często pada ofiarą bezmyślności turystów. Dalej spotkać tu można wcale często padalce, rzekotki i inne gatunki zwierząt niższych, których tu niesposób wyliczać.

Z terenem Ludwikowa łączą się nadto wspomnienia historyczne możnego rodu Górków (stąd nazwa jeziora Góreckiego, jednego z najpiękniejszych w Polsce niżowej) i zasłużonego Działyńskich (ruiny zameczku na wyspie), a także pobytu Napoleona I na Wzgórzu Ludwikowskiem.

Aby zachować przed zniszczeniem te przykładowo tylko wyliczone piękności i skarby rodzimej przyrody, Ministerstwo Rolnictwa, na wniosek Państwowej Rady Ochrony Przyrody, rozporządzeniem z 16 kwietnia 1932 r., utworzyło z lasów państwowych w Ludwikowie, ciągnących się od stacji kolejowej do jeziora Góreckiego rezerwat przyrodniczy o powierzchni 188 ha. Również Fundacja Kórnicka im. Hr. Władysława Zamoyskiego, uznając znaczenie naukowe, estetyczne, higjeniczne i wychowawcze, jakie tkwi w utrzymaniu przyległych od zachodu lasów Trzebawskich, uchwaliła z początkiem stycznia 1933 r.. z lasów tych stworzyć rezerwat częściowy (na obszarze ok. 200 ha), tak, że cały teren jezior i lasów Ludwikowa stanowić będzie pierwszy w zachodniej Polsce Park Narodowy, w którym zabezpieczone będą piękności krajobrazu i zabytki przyrody wielkopolskiej.

Kto pragnie się przyczynić do utrzymania Parku Narodowego w Ludwikowie i do ochrony dalszych osobliwości i piękności naszej ziemi, może to uczynić przez pracę w szkolnych kółkach ochrony przyrody, współpracujących z Ligą Ochrony Przyrody.

JUTRO

DZIAŁ SAMODZIELNIE PRZEZ MŁODZIEŻ REDAGOWANY

LEDNICA



Ruiny świątyni w Lednicy.

Na północny-wschód od Poznania, w odległości 20 km. od Gniezna leży jezioro Lednica, z dwoma wyspami Ostrowiem i Ledniczką.

Widać na nich wały ziemne pochodzące z czasów przedhistorycznych. Na Ledniczce znajduje się stożkowate grodzisko, gdzie w czasach pogańskich miano składać ofiary bogom. Przypuszczenie to wykorzystał J. I. Kraszewski w „Starej Baśni". Bohaterka powieści, Dziwa, pragnąc zostać kapłanką, udaje się na jezioro lednickie, gdzie na jednej z wysp znajdował się stary Chram Nijoły. Na Ostrowiu zachowały się ruiny kamiennego kościoła. Uczony krakowski ś. p. profesor Marjan Sokołowski, już w 1876 roku zajmował się ich badaniem i doszedł do przekonania, że to są szczątki kościoła Najświętszej Marji Panny, ufundowanego przez Dąbrówkę na miejscu chrztu Mieszka I. Kościół ten zbudowany był z granitu w stylu romańskim nakształt okrągłych kaplic czeskich X w. Wobec tego byłyby to ruiny starsze od znanej rotundy św. Feliksa i Adaukta w Krakowie. Były tu podobno także groby książąt dynastji Piastów.

Pozostała część ruin stanowi szczątek wybudowanego przez Kazimierza Odnowiciela w roku 1050 nowego kościoła, do którego wcielono część starą, podwyższoną o jedno piętro, jako prezbiterjum. Stało to się prawdopodobnie w związku z najazdem czeskim na Polskę i grabieżami, dokonanemi przez Brzetysława w Gnieźnie, kiedy to Kazimierz Odnowiciel był zmuszony przenieść stolicę z Gniezna na Ostrów lednicki. Przypuszczenie to potwierdza częściowo Długosz. Historycy twierdzą, że to tu właśnie, a nie na Ostrowiu Tumskim w Poznaniu, podejmował król Bolesław Chrobry cesarza Ottona III., gdy ten przybył odwiedzić grób świętego Wojciecha.

Według kroniki Galla za Bolesława Chrobrego Ostrów lednicki dostarczał największej liczby zbrojnych obok Gniezna, Poznania i Kalisza, co świadczy o jego kwitnącym stanie.

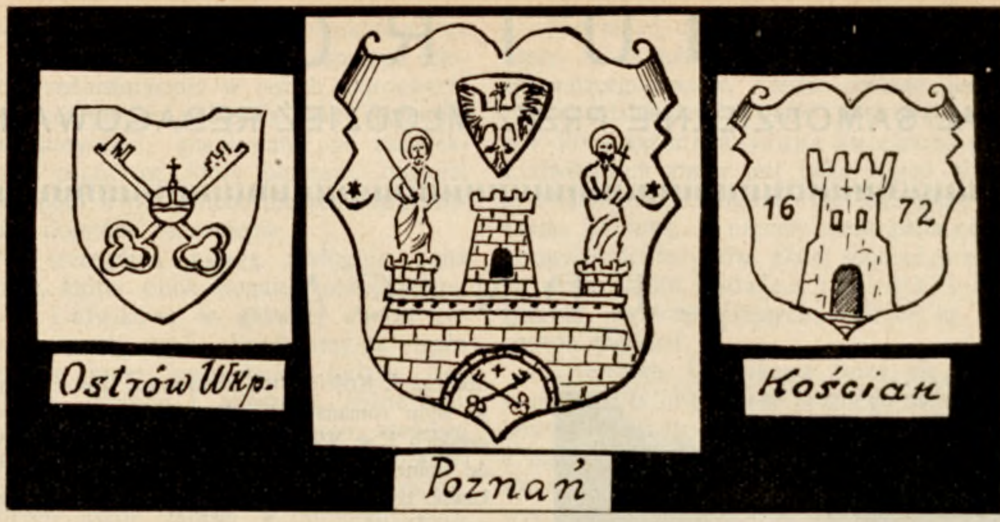
W wieku XIV zaczyna podupadać wskutek napadów Krzyżaków, którzy zrabowali i spalili drewniany gród, przylegający do kościoła.

Obecnie gród lednicki nabiera znaczenia, gdyż zainteresowali się nim poznańscy archeologowie, z profesorem Kostrzewskim na czele.

Halina Dolewska kl. VIII.

Uzasadnieniem Przyszłości jest Przeszłość.

(Aug. Cieszkowski: „Ojcze nasz").



KRAJOBRAZ WIELKOPOLSKI

Dzisiejszy krajobraz północnej Polski, a tem samem Wielkopolski, powstał pod wpływem lodowca, który pokrył terytorjum Polski, z wyjątkiem Podola i niektórych grzbietów Karpat. Gdy tajał, gromadziły się u jego czoła masy wód. Wody polodowcowe, płynąc wzdłuż krawędzi ustępującego lodowca, wyżłobiły doliny znane pod nazwą „wielkich dolin" albo „pradolin".

W pasie „wielkich dolin", przecinającym północną Polskę, leży nizina Wielkopolska, oparta na południu o linję rzek Baryczy [1]), Odry od zachodu, Noteci od północy i Wisły od wschodu.

Na nizinie Wielkopolskiej wznoszą się wzgórza do przeszło 150 m. nad poziom morza (pomijając wzgórza Ostrzeszowskie, sięgające do 275 m., jako należące już do Śląska) i o blisko 100-metrowej wysokości względnej. Krajobraz Wielkopolski da się podzielić na: 1) równinę płaską, 2) równinę falistą i 3) kraj pagórkowaty.

Charakterystycznym dla Wielkopolski krajobrazem jest równina płaska. Wielkie równiny leżą raczej w południowej części Wielkopolski. Największą z nich jest równina Koźmińska [2]) rozciągająca się jak wielki trapez między rzekami: Wartą, Prosną i Baryczą. Nieco mniejsze są: równina Opalenicka [3] i Kościańska [4], przedzielone doliną Obry — i równina Wrzesińska [5] i Zagórowska [6], oddzielone od siebie korytem Warty. Na zachód od Poznania rozpościera się mała równina, którą można nazwać Poznańską. Równiny wielkopolskie, zbudowane przeważnie z moreny dennej lodowca, pokryte żyznemi glinkami, są pierwszorzędnemi terenami kultury rolnej. Tylko tu i ówdzie występują na nich gleby piaszczyste, zajęte pod uprawę żyta lub ziemniaków, a rzadziej porosłe borem wyniosłych i prostych jak świeca sosen.

Przejście od równin płaskich do krain pagórkowatych stanowią równiny faliste, otaczające jakby pierścieniem równiny płaskie. Wzniesienia równin falistych są bardzo łagodne i wahają się między 10—40 m. wysokości względnej, nie występując nigdzie jako większa całość.

Wielkie równiny leżą także w pradolinach. Równiny dolinne rozpościerają się wzdłuż większych rzek: Noteci, Warty, Obry, Prosny i Baryczy. Wraz ze stokami, porzeźbionemi w stopnie czyli terasy, dają ciekawy i piękny krajobraz. Terasy nadrzeczne, pokryte polami, łąkami i lasem, są oddawna terenem osiedli ludzkich.

Krainy pagórkowate zajmują przeważnie północną część Wielkopolski. Kraj pagórkowaty, bardzo rozpowszechniony na terenie Wielkopolski, pokryty jest nieregularnie rozrzuconemi pagórkami, wznoszącemi się na 20 - 80 m. nad poziom otoczenia.

---

[1] Barycz: wpada do Odry pod Głogowem. [2] Koźmin: leży w środku linji prostej, łączącej Krotoszyn i Jarocin, dwa większe miasta południowej Wielkopolski. [3] Opalenica: na zach. od Poznania. [4] Kościan: na pd.-zach. od Poznania. [5] Września: na wsch. od Poznania. [6] Zagórów: nad Wartą, na zachód od Konina.

Pagórki te, utworzone bądźto z moreny czołowej, bądź też z pagórkowatej moreny dennej biegną w trzech pasach z zachodu na wschód. Pierwszy pas ciągnie się wzdłuż Noteci. Drugi zaczyna się na zachodzie od pagórków Międzychodzkich[1] i przez pagórki Pniewskie[2], Poznańskie i Gnieźnieńskie przechodzi na wschodzie w pagórki pojezierza Wielkopolskiego, sięgając do Wisły po Kutno. Pas południowy pagórków, najbardziej zniszczony i wąski ciągnie się od Leszna[3] przez Dolsk[4] do słynnego z pięknych okolic Żerkowa[5].

Od Żnina[6] aż do Warty pod Koninem rozpościera się kraina jezior Wielkopolski. Tu leży sławne Gopło, nad niem Kruszwica z Mysią wieżą, uchodząca za kolebkę Państwa Polskiego. Podłużne rynny tych jezior powstały skutkiem działania wód lodowcowych. Jeziora są perłą wielkopolskiego krajobrazu. Kraj ten nosi też słusznie nazwę „pojezierza Wielkopolskiego".

Piękną grupę stanowią jeziora koło Chodzieży[7], Sierakowa[8], Wolsztyna, Zbąszynia[9], a przedewszystkiem jeziora, położone na południowy zachód od Poznania. Między innemi jezioro Góreckie jest celem licznych wycieczek mieszkańców stolicy Wielkopolski.

Odmiennym rodzajem krajobrazu pagórkowatego jest krajobraz wydmowy. Lekko nachylone pagórki wydmowe występują gromadnie w „wielkich dolinach". Widzimy je więc między dolną Wartą a Notecią, — między Notecią, Brdą i Wisłą, między Obrą a Odrą, — w dolinie środkowej Warty i nad Prosną.

Wydmy są elementem krajobrazowym utworzonym z piasków, osadzonych przez wody polodowcowe, gdy piaski te były jeszcze lotne i suche. Sypki piasek wydm przesuwa się czasem jeszcze dzisiaj z miejsca na miejsce, zasypując rolnikowi glebę. Człowiek ustala „wędrujące wydmy", zakładając na nich zagajniki sosnowe.

Gleba niziny Wielkopolskiej jest rozmaita. Na równinach przeważnie gliniasta, rzadziej piaszczysta, w dolinach rzecznych napływowa. Szczególnie urodzajne są gleby czarnoziemne na Kujawach, powstałe z bagnisk. Krainy pagórkowate mają glebę mniej żyzną, gliniastą lub piaszczystą, nawet kamienistą. Wydmy są naogół nieurodzajne.

Na glebie piaszczystej udaje się żyto i ziemniaki. Ziemia gliniasta i czarnoziemna jest terenem intensywnej uprawy pszenicy i buraków cukrowych. Wielkopolska uchodzi słusznie za śpichlerz Polski. Dzięki swym równinom produkuje najwięcej żyta, pszenicy i buraków cukrowych z jednego ha.

Krajobraz Wielkopolski nie dorównywa pięknością Tatrom, ale jest typowym krajobrazem nizinnym, polnym, o wysokiej kulturze rolniczej.

Wanda Pawłowska, VIII kl.









[1] Międzychód: nad Wartą, przy granicy polsko-niem. [2] Pniewy: na pd.-wschód od Międzychodu. [3] Leszno: blisko granicy, na pd.-zachód od Poznania. [4] Dolsk: na południe od Poznania. [5] Żerków: na północy od Jarocina, w kolanie Warty. [6] Żnin: na południe od Bydgoszczy [7] Chodzież: pn.-zachód Wielkopolski. [8] Sieraków: na wschód od Międzychodu. [9] Zbąszyń: nad granicą, na południe od Międzychodu.

WESELE W WIELKOPOLSCE

W przedwojennym okresie ludność wiejska na ziemiach wielkopolskich, mimo wpływów niemieckich, dążących do zatarcia jej odrębności, zachowywała swe tradycje i obyczaje, które przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Z szczególnem zamiłowaniem odnosiła się do uroczystości rodzinnych, a najokazalszą z nich były zaślubiny.

Rodzice panny młodej, chcąc dać wyraz swemu zadowoleniu, zapraszali sobie kojarzące się rodziny i zaprzyjaźnionych sąsiadów i bardzo gościnnie ich podejmowali.

Uroczystości rozpoczynały się przed zapowiedziami. Wtedy to swat — późniejszy drużba — przychodził do domu rodziców dziewczyny, która zwykle po cichu była już w porozumieniu ze swym wybranym, a chcąc usłyszeć ich zezwolenie, częstował suto przyniesionym trunkiem i sam pił za zdrowie starszych i młodych. Jeśli rodzice nieprzychylnie odnosili się do zamierzonego związku, nie brali udziału w poczęstnem, w przeciwnym razie młodzi w najbliższą niedzielę dawali na zapowiedzi.

Szli oboje do proboszcza na obowiązkowy egzamin z katechizmu, ubrani odświętnie z wieńcami rozmarynu na głowie, a kiedy z ambony padła pierwsza zapowiedź, prawdziwy okres narzeczeństwa się rozpoczynał. Ślub przypadał zwykle na niedzielę po trzeciej zapowiedzi i to po Sumie.

Wczesnym rankiem przybywali goście a każdego osobno witała muzyka skoczną przygrywką.

Do ważniejszych zadań pana młodego należało dostarczenie odpowiednich grajków, którzy nastrój uroczystości podnosić musieli śpiewnemi melodjami granemi na klarnecie i basach, albo skrzypcach i dudach. Muzyka była zharmonizowaną z otoczeniem i tłem przyrody, miała nutę liryczną i sielsko — rodzimą.

Malowniczy orszak, w barwnych strojach wyruszał do kościoła. Na pierwszym czterokonnym wozie zasiadała panna młoda z czteroma lub sześcioma druchnami, w Wielkopolsce »swachnami« zwanemi. Ubrane w krótkie »jaczki«, krasne spódnice i pięknie wyszywane tiulowe fartuszki, na głowie miały czapeczki z układanemi »ryżkami«, ozdobione wieńcami rozmarynu, sztucznemi kwiatami i kolorowemi wstążkami.

Wszystkie wiewały chusteczkami i pokrzykiwały wesoło: »Oj wesele, oj świeci się, oj nasze!«

Na tym samym wozie jechała muzyka i przygrywała całą drogę. Młodzież konno uwijała się obok wozu, wszyscy w »wołoszkach« i szerokich czarnych kapeluszach, przystrojonych wieńcami, każdy miał w ręce bacik na sarniej nóżce, a młody pan rózgę brzozową. Za niemi starszyzna i reszta gości, oprócz matki panny młodej, na bryczkach i wozach, a im dłuższy był korowód, tem wyglądał paradniej.

Drużba prowadził oboje oblubieńców do ołtarza. Po wyjściu z kościoła, muzyka przygrywała i tym samym porządkiem wracali.

O ile panna młoda pochodziła z rodziny zasiedziałej i cieszącej się uznaniem we wsi, orszak weselny pierwsze swe kroki kierował do dworu. Tutaj państwo składali życzenia nowożeńcom, przyczem dziedzic wnosił ich zdrowie węgrzynem i rozpoczynał tańce z panną młodą, co dawało hasło do wesołej zabawy. Tańczono oberki, polki, krakowiaki, wieńce, aż nareszcie weselni goście posuwali się rozochoceni, tańcząc ciągle, do swego domu. Na progu drużba ofiarowywał młodej pannie chleb i święconą wodę, młodemu panu cepy. Wszyscy zasiadali do śniadania, złożonego z kawy, placków i mięsiwa, poczem tańczono do obiadu, który podawano nie przed 11-tą w nocy. Na obiad był rosół z białym grochem, czarnina z kluskami i różne smakołyki wieprzowe, bo parocentnarowy wieprz pada do dziś dnia ofiarą podobnych uroczystości.

Mężczyźni zakrapiali jedzenie wódką, kobiety i dziewczęta winem i piwem. Każdy mąż siedział obok swej żony i z nią tańczył, a każda »swachna« miała swego »swata«, który miał obowiązek zajmować się tylko nią przez cały czas, co często powodowało następne wesele.

Około północy czepiono młodą pannę i wtedy rozpoczynały się żarty i przebierania.

Najpierw musiała ona zbierać dla muzyki »kopytkowe«. Następnie ukazywało się dwóch kupców żydów, którzy pannę młodą oprowadzali po izbie, zachwalali jej zalety, rzekomo kupić chcieli, płacąc za nią skorupami.

Mogła się uwolnić, jedynie tańcząc kolejno z każdym z nich. Wreszcie mężatki brały ją w swoje grono, by w komorze zdjąć jej wianek z głowy i ubrać w czepiec i chustkę jedwabną o tęczowych kolorach, jaką zwykły nosić kobiety zamężne do kościoła.

Przy tej ceremonji swachny śpiewały pod drzwiami:

Oj ty miły rozmarynie,
Com cię siała na zagonie,
A teraz już siać nie będę,
Bo już teraz zamąż idę,
Bom cię siała i zżynała —
I na głowie upinała —

a swatowie wtórowali:

Oj wychodź, wychodź panna z komory
A gdzieś podziała wianek z głowy?

odpowiadała:

W komorze go zostawiła,
Na gwoździku uwiesiła
Dla innej panny.

Panna młoda wychodziła z komory wraz z swachnami. Wszystkie szczelnie otulone w prześcieradła nie do rozpoznania. Wtedy biada młodemu panu, jeśli nie zaraz rozpoznał swą żonę. Pobudzało to obecnych do szalonej wesołości. Wreszcie o ile ją poznał, odkrył prześcieradło, pocałowali się i tańczyli z sobą, a goście na czepiec składali talary co przy liczniejszych weselach stanowiło nieraz pokaźną sumę na początkujące gospodarstwo.

Tańce, przeplatane różnemi daniami, trwały zwykle do 3-ciej po południu, poczem muzyka wyprowadzała każdego gościa zosobna, a kobiety, wracając do domu, zabierały dość obficie przysmaki dla pozostałej dziatwy. W następną niedzielę zbierało się jeszcze raz to samo weselne grono, by uroczyście obchodzić »ogon« wesela, przyczem tańczono do północy.

W okresie powojennym nastąpiła zupełna zmiana obyczajów ludowych. Zarzucono stroje ludowe prawie zupełnie, druchny występują w wieczorowych wyciętych sukniach, panna młoda do białego lub kolorowego stroju nosi gęsty biały welon, który nie podnosi ani jej wdzięku ani krasy. Dawne tańce tańczą tylko starsi jako niemodne, młodzi mieszaninę foxtrotów nowoczesnych, przyniesioną z bruku miejskiego, przy muzyce, — uzu-

pełnionej hałaśliwą trąbą lub warczeniem bębna. Zanika zupełnie poczucie piękna wobec nieprzepartej dążności do zatarcia różnic socjalnych i odrębności ludu wiejskiego. Dawne zwyczaje pamiętają jedynie starsi. Tylko szczera i serdeczna gościnność polska pozostała zawsze równa. Przeniosła się nawet i na emigrację, gdzie lud polski przestrzega dawnych tradycyj, przypominających mu dom własny i rodzinę. We Francji robotnik Polak, wyprawiając wesele córki, sprasza miłych sobie gości, wszyscy jedzą, piją, bawią się, tańczą, nawet charakterystyczny wieprz musi być podany w różnych postaciach, gdy tymczasem ich koledzy Francuzi dziwią się temu bardzo, bo oni w takich razach jeżdżą na »mairie« autobusem, później w najbliższym estaminet'cie każdy spożywa obiad wspólnie, ale na własny koszt, i rozumieć nie mogą, czemu tamci robią sobie tyle kłopotu.

Aleksandra Plucińska Kl. VIII. Gimn.

PRZESĄDY WSRÓD LUDU WIELKOPOLSKIEGO

Mimo stosunkowo wysokiego poziomu oświaty zachowało się wśród ludu wielkopolskiego wiele przesądów, guseł, które nieprędko jeszcze ustąpią. Wierzą powszechnie w pokazywanie się djabła, którego nazywają czartem, lub biesem. Pokazuje on się podobno w postaci Niemca we fraku, z kopytami, rogami i ogonem, zjawia się najczęściej na rozstajnych drogach — lub w lesie i obietnicą skarbów wyłudza zapis duszy.

Pokazują się także dusze czyścowe — prosząc jużto o ratunek jużto o Mszę św. Częściej jeszcze zjawiają się potępieńcy, w strasznej postaci, wyrzucają z ust ogień i siarkę, brzęczą łańcuchami, jęczą i wyją. Wieśniacy wierzą też w upiory, południce i krasnoludki, które żyją w wodzie, w drzewach, w ziemi i w budynkach, ale widzieć ich nie można, chyba że same chcą się pokazać. Ludziom porywają nowonarodzone dzieci, a w ich miejsce podrzucają swoje. Gorzej jest z południcami, które pokazują się całe w czerwieni. Siedzą zwykle na dojrzewającem zbożu i pastuszkom wyrządzają różne figle a nawet krzywdy.

Jeszcze gorsze są zmary, które duszą we śnie człowieka, tak że ten aż jęczy. (Duszenie to pochodzi naprawdę z przeładowanego żołądka). Chłopi wielkopolscy wierzą także w czarownice, zwane ciotami. Prowadzą one konszachty z djabłem, który daje im znajomość przeszłości i przyszłości, a niekiedy nawet i pieniądze. Chłopi wielkopolscy boją się czarownic, więc wszystko spełniają, co rozkażą. Czarownicę można poznać po brzydkich, czerwonych oczach, w których nie widać „panienek", jak u wszystkich ludzi, ale kozły. Z czarownicami łączą się, podług wierzeń ludu, opętane, czyli „nawiedzone" i „mądre". Pierwsze są to kobiety chore na jakąś nerwową chorobę. Mądre to niewiasty, które leczą zażegnywaniem i zaklinaniem choroby, rzadko ziołami i maściami. Niebezpieczni są też ludzie, którzy mają „urocze oczy" — na co spojrzą, to urzeką.

Wielkie znaczenie mają znaki, przepowiednie i sny. I tak: jeżeli ma ktoś umrzeć z domu, to albo pies wyje pod oknami, lub kura zapieje, jak kogut, albo też puszczyk po nocy woła: „Pójdź, pójdź w dołek pod kościołek". Gdy nieboszczyk niema dobrze zamkniętych oczu, ale z pod powiek patrzy to mówią, że wypatrzy kogoś z rodziny, który pójdzie za nim. Deszcz padający w dzień ślubu, zapowiada nowożeńcom opłakane życie. Pokazująca się na niebie kometa wróży głód, wojnę lub choroby; słońce zachodzące czerwono, zapowiada wiatr; gdy zaś wiatr jest zbyt silny, to z pewnością musiał się ktoś powiesić.

Każdy sen ma swoje znaczenie. Pszczoły zapowiadają ogień; woda, krzyż lub obraz, we śnie widziane, oznaczają zmartwienia i kłopoty; gdy pannie śni się piękny koń — to piękny chłopiec przyjdzie; pies oznacza nieprzyjaciela, a błoto plotki; podarte buty zaś wyzucie przez złych ludzi z dobrej sławy; ryby i zboże są przepowiednią dostatku i t. p.

Jasińska kl. VI.

O GROCHU

Ciekawy zwyczaj zachował się w powiecie gnieźnieńskim, we wsi Trzuskołonie. Ponieważ jednym z ważniejszych produktów uprawianych tam, jest groch, ludność tamtejsza prócz zwykłych dożynków obchodzi dożynki grochowe, czyli t. zw. pępek. O ile zwykłe dożynki mają charakter uroczysty i obrzędowy to grochobranie ma zabarwienie wybitnie humorystyczne.

Jeden z parobków owija się grochowinami, tak że go z poza nich wcale poznać niemożna. Chłopak ten ciągnie za sobą wózek pełen łodyg grochowych, a dwaj jego pomocnicy, również przebrani, chwytają dzieci i dziewczęta i rzucają na wózek. Wśród krzyku i śmiechu „biedne ofiary" wyrywają się swoim prześladowcom a orkiestra smyczkowa idąca na czele pochodu, przyczynia się nie mało do powiększenia zgiełku.

K. N.

BIAŁA DAMA Z RYDZYŃSKIEGO ZAMKU

(Według legend).

Zamek rydzyński leży na skraju miasteczka, wśród pięknego starego parku. Piękny ten zabytek barokowego budownictwa był najpierw siedzibą Leszczyńskich, a później Sułkowskich. W jednej z komnat, ozdobionych barokowymi aniołkami znajduje się portret damy, ubranej w białe szaty.

Raz w roku czernieje portret białej pani i wtedy w zamku rydzyńskim dzieją się straszne rzeczy.

Komnaty napełnia piekielna woń smoły.

Z trzaskiem otwierają się drzwi kaplicy i rzadko który śmiałek zdoła przeżyć widok, jaki rozpościera się przed oczyma śmiertelnika.

Świece zapalają się na ołtarzu; ukazuje się ksiądz — kościotrup. Liturgiczne szaty wiszą na chrząszczących kościach. Dwa małe szkielety przybrane w komże usługują do mszy. W pierwszej ławce klęczy piękna pani w białej powłóczystej szacie. Złote włosy spływają na kamienną posadzkę. W chwili Podniesienia, gdy zadźwięczy dzwonek w kościstej ręce ministranta, głuchy grzmot przebiega po zamku. Po obrzędzie widmo kobiety przystępuje do spowiedzi, ale mimo błagań o rozgrzeszenie, kapłan odpowiada: „Nie w tym roku jeszcze". Jednocześnie obnażonemi piszczelami wskazuje na dwa trupy dzieci, ukazujących się na chwilę.

Nagle gasną świece, zatrzaskują się drzwi kaplicy i w zamku słychać długi przeciągły jęk. Gdy jęk ucichnie, zjawia się na portrecie znowu postać białej damy. Długo nikt nie wiedział, kogo wyobraża portret. Sądzono, że jest to jedna z ostatnich Sułkowskich, aż pewnego razu przybył do zamku bardzo stary ksiądz. Gdy opowiadano mu o strasznej nocy, która miała miejsce kilka dni przed jego przyjazdem, sędziwy kapłan oznajmił, że zna losy Białej Damy. Kiedy w zamierzchłych czasach mury zamku rydzyńskiego rozbrzmiewały gwarem uczt i zabaw, przybyła z odległej krainy piękna dama. Dobrze się tu bawiła, obsypywana hołdami mieszkańców. Razu pewnego — opowiadał ksiądz — zawezwano mnie do „umierającej". Jakaś kobieta zawiązała mi oczy, wprowadziła do pokoju, w którym „umierająca" wyjawiła, że zamordowała dwoje swoich dzieci i pochowała je w parku, za co została skazana na głodową śmierć w więzieniu, ale choć już wiele lat upłynęło, odkąd umarła, nie może zaznać spokoju, dokąd jej dzieci nie zostaną pochowane na cmentarzu. Potem duch wziął mnie za rękę i zaprowadził pod drzewo. Ponieważ miałem zawiązane oczy, urwałem liść aby później przekonać się, co to było za drzewo. W tej chwili wybiła pierwsza godzina.

Dama zniknęła. Ktoś zawiózł mnie do domu. Całe zdarzenie dziwnie zatarło mi się w pamięci. Dopiero przypomniał mi je schowany liść, który, jak się okazało, był z gruszy. Długo szukałem zamku, do którego mnie wówczas zawieziono, aby spełnić swój obowiązek i pochować zabite dzieci, ale napróżno. Dopiero tu poznałem z portretu pokutnicę. — Ksiądz udał się do parku, ale nie znalazł ani jednej gruszy, wszystkie wycięto i na ich miejsce posadzono inne drzewa; to też nikt nie może znaleźć miejsca, gdzie leżą dzieci, aby pochować je na cmentarzu, a biedna Biała Dama dotąd czeka w starym portrecie na ukończenie pokuty.

. . . .

W 1775 r. książe August Sułkowski, wojewoda gnieźnieński przeznaczył swoje dobra na wychowanie młodzieży. Pruski rząd zaborczy, nie zważając na ustanowioną Ordynację rodziny Sułkowskich zagarnął cały majątek na rzecz swego skarbu.

Po wojnie — na mocy Traktatu Wersalskiego dobra przeszły na własność Skarbu Państwa Polskiego, który oddał je w myśl intencji Ordynacji na zakład wychowawczo-naukowy dla młodzieży. Obecnie w Rydzynie znajduje się gimnazjum, prowadzone według najnowszych metod. — Każdego nowego rydzyńskiego wychowanka straszą legendą o Białej Damie, ale nikt teraz jej nie widuje. *Zosia Michcińska* VIII kl.



Zamek w Rydzynie.

(Dalszy ciąg działu regjonalnego patrz 3-a i 4 str. okładki).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

S. O. S.

„RATUJCIE DUSZE NASZE!“

— Bynajmniej. Proponuję panu lojalnie włożenie znikomego odsetku swego majątku w dzieło, które zdejmie z pańskich dzieci, tak o ile wiem, ukochanych, część odpowiedzialności za przewrotny ustrój społeczny, w jakim grzęźniemy, a równocześnie, ułatwi panu znacznie moment zdawania rachunków życiowych... Trwały to będzie przekaz, nie zdewaluuje się... Możesz go przedstawić do płatności Najwyższemu Sędzi zarówno za dziesięć lat jak za trzydzieści...

Zaległo chwilę milczenie. Dyrektor patrzył zezem na czubek żarzącego się papierosa.

— Ileż brakuje jeszcze księdzu tych akcyj? zapytał nagle.

— Sto po dwadzieścia złotych, — odrzekł ksiądz pogodnie.

— Dwa tysiące złotych! Czy ksiądz sobie zdaje sprawę co to za olbrzymia suma!

— Najzupełniej. Nie wydaje mi się ona jednak wielką w porównaniu z owocami, jakie przyniesie...

— W to ostatnie pozwolę sobie wątpić... ale... zajechał mnie ksiądz wzmianką o moich dzieciach...

— Bóg im to nagrodzi, — odparł ksiądz miękkim głosem, — a zatem plac jest już nasz...

Dyrektor machnął ręką ruchem, który oznaczał, że potępia żywo własną słabość i niedaleki jest uwierzyć w czary. Dwa tysiące złotych zgadzał się wyrzucić ot tak poprostu za okno, on człowiek arcytrzeźwy, raczej nieużyty... Żadne molestacje starego dziwaka nie byłyby go przekonały, gdyby nie wzmianka o dzieciach. Ukochana jego córeczka Linka przebywała od dwu lat w zagranicznem sanatorjum zagrożona próchnicą kości i cały majątek ojca okazywał się bezsilny, by chorobę odsunąć. Może rzeczywiście za tych sto uratowanych dzieci Bóg zgodzi się pozostawić mu jedno własne...

— Ksiądz wychodził z twarzą tak promienną, że Kota spojrzała nań zdumiona. Otrzymał widać o co prosił? Od dyrektora? Niemożliwe! Rezygnując z odgadnięcia tej zagadki spojrzała z ponownem ziewnięciem w przeciwną stronę. Ach jakże się jej ten dzień dłużył!

Rozejrzawszy się bacznie czy nikt na nią nie patrzy, wyciągnęła z pod bibuły kilka wycinków z gazet i zagłębiła się w nich z całą uwagą. Były to ważne rzeczy. Przed dwoma tygodniami, w tajemnicy przed siostrą i bratem dała ogłoszenie do pisma matrymonialnego. Wystylizowała je starannie i, jej zdaniem, najponętniej. Brzmiało: *Nieprzeciętnego umysłu i urody,* — (wierzyła w to najmocniej), — *zmęczona jałowością życia dziewczyna, pozna chętnie w celu poważnym,*

— (tak, poważnym, niech sobie nie myślą Bóg wie czego), — *przystojnego, zamożnego,* — (koniecznie), — *pana o wyrafinowanej kulturze, któremu byłaby siostrzaną duszą...*

Siostrzana dusza! Wyrafinowana kultura! Po sto razy Kota odczytywała ogłoszenie i za każdym razem upajała się własnym stylem takim... eleganckim, takim... wytwornym! Nic dziwnego, że odpowiedzi nadpłynęły szybko i licznie. Liczba ich oszołomiła ją poprostu. Którą odrzucić, którą zatrzymać i, ewentualnie naznaczyć spotkanie? Byłaby się chętnie poradziła kogo, lecz siostrze nie śmiała się zwierzyć.

...Jestem urodziwy jak Novarro, czarujący jak Menjou, — pisał jeden, — tęsknię za znajomością z wyrafinowaną i wzniosłą kobietą. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Gdzie się spotkamy?

...Czytałem pani ogłoszenie, chaniebnie mi się spodobało, bo ja właśnie jestem także taki sam: wyjontkowego umysłu a co do urody to pani zobaczy, gdy mi zechce naznaczyć spotkanie, najlepiej w piontek wieczorem...

Prostak, — mruknęła przeczytawszy ten list Kota, »chaniebny« prostak... Z oburzeniem zmięła »wyjontkową« ofertę i rzuciła do pieca.

...Umysł to nic potem, uroda owszem, ale najważniejsze, to czy grosiwo jakie jest. Jak niema, to sobie pisz panna do sądnego dnia, a jak jest to się możemy poznać. Ja spaceruję codzień przed wieczorem po ul. Królewskiej a poznać to mnie łatwo, bo się wszystkie dziewczęta za mną oglądają...

Zarozumialec!

... Czy umysł i uroda nieprzeciętne trudno uwierzyć na niewidziane. Proponuję spotkanie któregokolwiek dnia w kawiarni Europa na rynku. Znak: biały gwoździk w klapie ubrania.

Ta oferta zarówno jak pierwsza (Novarro) zainteresowały Kotę. Brzmiały kusząco, dystyngowanie. Novarro był poetyczny, niedowiarek stanowczy i męski. Po długim namyśle odrzuciła wszystkie pozostałe oferty nawet pewien wierszowy utwór, którego autor zapewniał, że: »jawiła mu się we śnie, — słodka niby dojrzałe czereśnie...« Ten wiersz był wzruszający naprawdę, ale trudno, nie mogła przecież odpowiedzieć trzem odrazu.

Węzełki ciągnione przez nią samą wskazywały na Novarra jako na pierwszego, dziś właśnie mieli się spotkać w cukierni, jako znak rozpoznawczy mając każde przypięty bukiecik fiołków.

Nie dziw więc, że czas dłużył się Kocie niemiłosiernie, a robota nie szła bynajmniej. Ciekawość, leciutki niepokój, obawa co powiedzieliby siostra i brat, gdyby dowiedzieli się o tej imprezie, wybijały wypieki na jej różowe policzki. Po raz niewiedzieć który odczytywała odpowiedź »Novarra« również za pośrednictwem gazety przesłaną: *Fiołki. cukiernia, zgoda. Będę punktualnie.*

Jaka twarz kryła się za temi słowami? Kogo zobaczy? Czy będzie to początek romantycznej przygody, o jakiej lubi marzyć tyle dziewcząt, czy banalne i przykre »chaniebne« rozczarowanie?

Wszystko ma swój koniec, więc i urzędowanie skończyło się wreszcie. Urzędnicy wychodzili sznurem z banku. Woźny śpiesznie zamiatał posadzkę. Z przed wyjścia ruszyła z cichym poszumem wspaniała lśniąca limuzyna dyrektora. Jego pracownicy szli ku śródmieściu pieszo. Gmach banku wzniesiony został przed paru laty w chwili największej gorączki budowlanej. Przyłączono wówczas do miasta nową dzielnicę, na której jak grzyby po deszczu wyrosły wspaniałe budowle, białe olbrzymie sześciany błyszczące taflami okien. Zanim jednak zdążyły wypełnić sobą całą przestrzeń, nadszedł kryzys gospodarczy. Wszelki ruch budowlany zamarł, to też w wielu miejscach piękne nowoczesne budowle sąsiadowały bezpośrednio z poletkiem obsianem lichym owsem, lub starą, nawpół rozwaloną chatą, pozostałością istniejącej tu jeszcze przed dziesięciu laty wsi.

Olbrzymi bank Stowarzyszonych Stowarzyszeń przytykał również jednym bokiem do pustego placu zarosłego chwastem i zarzuconego częściowo rumowiem. W głębi placu stał niewielki domek z pięterkiem w środkowej części dachu, skazany na rozbiórkę w razie zabudowywania placu. Przed nim rozciągało się morze badyla, glinianki wypełnione do połowy żółtą, nieruchomą wodą i gruz ze stojącego tu niegdyś, rozebranego

przed paru laty domostwa. Wśród szczątków kominów czerniał sklepiony otwór do nawpół, zawalonej piwnicy.

Zazwyczaj panowała tu doskonała pustka gdyż nawet dzieci z okolicznych podwórek wolały kopać piłkę na równiejszych terenach, dziś jednak pośrodku placu, niby czarny drogowskaz, stał wysoki, chudy ksiądz, ten sam, którego akcje płatne w niebie nabył przed południem dyrektor Banku Stowarzyszeń. Stał samotnie rozglądając się wokoło okien gospodarza. Chwilami porywał się, śpiesznie przemierzał wielkiemi krokami plac wzdłuż i wszerz, nie bacząc na zdziwione spojrzenia przechodzących mimo urzędników bankowych, znów przystawał, spozierał zamyślonem okiem w górę, jakgdyby widząc już ukończone zręby domu, co miał przytulić sto wyrwanych nędzy sierót.

(C. d. n.)

S A N K I



Dzwonią, dzwonią, dzwonią dzwonki
Droga w tył ucieka,
Drzewa mkną na łeb, na szyję,
Jak serce człowieka.

Konie mało się nie wściekły,
Wicher w twarze siecze,
Brylantami sypie w oczy,
Jak serce człowiecze.

Gdzieś przed nami lśni horyzont
Ze szczerego złota
Wiecznie bliski, niedościgły
Jak ludzka tęsknota. S. M. T.

Z I M A I W I O S N A

Chodzi zima miljonerka
W brylantowej paradzie
I srebrzystych skier korony
Na rząd drzew życiem znużony,
Na omdlałe bary świerka
Przemocą kładzie
Ciężkie mrozem ręce kładzie
Na serce świerka.
Przepych białych gronostajów
Zwleka radosny,
Srebrnych kwiatów dziś rozpina
Czarodziejka snów jedyna
Jakby chciała w błękit lodu
Zakląć czar wiosenny!
W cichy zimny błękit lodu
Złoty czar wiosny!
Ale drzewa stoją martwe
W wzgardzie surowe
Wśród lodowych szkieł migotu
Tęsknią cicho do powrotu
Tej, co w ciepłe weźmie dłonie
Serca świerkowe
Aż odtają w ciepłych dłoniach
W łzy bursztynowe. S. M. T.

IGNIS.

UŚMIECH ŻYCIA

(Ciąg dalszy).

Czuję się bardzo słabą — nawet fizycznie.

Częściej się zwracam do Boga teraz i pytam Go ze smutkiem dlaczego odeszło ode mnie jakieś dobro, skąd takie rozdwojenie, że chwilami pragnę dla siebie czegoś namiętnie, a to mi zaraz obojętnieje?

Dziś przy kolacji ojczulek zapytał dlaczego Zochna nie była parę dni?

Nie była? Nawet nie spostrzegłam tego, zasklepiona w czemś osobistem. Dlaczego nie była istotnie?

Płomień prześlizgnął się po ogorzałej twarzy Romka; myślałam, że się coś odezwie, jaki brylantowy dowcip, ale nie. — Czy się nie mylę, ale mi się zdaje, że rzadziej słychać jego radosny śmiech... Czy to ja wszystkich gaszę? Krążą koło mnie jakieś niedomówione słowa...

22-go lipca.

Parę dni nie pisałam. Duszę wstrząsnęły tak potężne wrażenia, wicher tak sprzecznych uczuć nią miotał, że dziwię się nawet tej względnej swojej równowadze.

— O Matuchno, czemu Ciebie niema przy mnie! Muszę zebrać myśli rozpierzchłe, złe, trwożne, radosne. Jak spłoszone ptaszyny obleciały mnie wokoło! Źle mi — samotnie — sieroco, a niema przy mnie nikogo. — Ale czemu źle? Czy naprawdę źle? Nie jestże to egzaltacja, ten lęk przed czemś co musi przyjść, co już jest może?

Jednego dnia bolała mnie silnie głowa. Pożegnałam się wcześniej z rodzicami i zaraz po kolacji poszłam do siebie na górę. Romek chciał przyjść do mnie; jest taki serdeczny, że wprost gotów na skinienie, ale wygląda blado i często się zamyśla.

Wymówiłam się chęcią położenia się zaraz. Odszedł, ale niechętnie, dziwnie na mnie patrzył i jakby chciał coś powiedzieć. Coraz rzadziej ze sobą rozmawiamy...

Przyszła niania — jest u nas od mego urodzenia. Bardzo mnie kocha i pieści. Ułożyła mnie, otuliła, napoiła jakąś smaczną lemoniadą, ale nie mogłam zasnąć, czułam trochę gorączki i głowa ciężyła.

— Spij, gołąbko, śpij kwiatku Boży, mówiła śpiewnie. Trza się wyspać i wydobrzeć, by kiej różyczka wyglundać... Bo już ino patrzeć jak królewicz upodoba se i porwie jagódeckę moją. Ino żal mi, co to nie on królewicz, jak z bajki, w złocistej karocy i w złotogłowiach — kieby jakowyś monarcha ino se taki zwykły. Już ci i pora, kwiatuszku. Jakoś i starsa pani się ożywiła, możeć ku podesłemu wiekowi, to i u niej serce się zbudziło. Ale mi się widzi, co zawdy ku panicowi bardziej się skłania.

Sykuje ci wyprawę galantą, sykuje. A kiejś słysałam beze drzwi jak do starszego pana mówiła, co zrękowiny, to jesce latoś urządzi, tylo bez to jesce zwłócy, coby pirwej panicowi oną posadę jakowąś usykowali.

Jakby prądem elektrycznym rażona zerwałam się.

— Nianiu, na Boga, co ty bajesz? O kim mówisz? — wołałam bezprzytomnie. A niania zaczęła się śmiać, wziąwszy się aż za boki...

— Oj filutko ty! — Bogać tam nie wis? A toż się cięgiem jak w malowanke w panica wpatrujes. Gzychu w tem nijakiego nima, boć sama niebosczka Matula panica Romcia z nasą panią starsą to weselisko se ułożyły, kiej o tobie jagódko, jesceć sie nie śniło.

W głowie zrobiło mi się w jednej chwili zupełnie jasno. Zrozumiałam te niedomówione nieraz słowa ojczulka, dziwną pobłażliwość matki, nietajone

zadowolenie, gdy razem wychodziliśmy z Romkiem.

Czy Romek o tych projektach wie? — Och nie, — niech nic nie wie, niech się niedomyśla, gotów jeszcze przypuszczać, że ja na to liczę... Och byle nie to!

Nagle zdało mi się, że lecę w jakąś przepaść. Zemdlałam!

4-ty sierpień.

Dziesięć dni przeleżałam. Dziwna była moja choroba: nic mnie nie bolało, ale nie mogłam dźwignąć się z łóżka, ani ręki podnieść. Różne nowiny dochodziły do mnie za pośrednictwem niani.

Opowiadała, że Romek warjował poprostu. Przesyłał mi kwiaty, słodycze, po kilka razy na dzień przychodził pod drzwi pokoju mego i pytał o zdrowie. Codzień pisał, robiąc sobie tysiączne wyrzuty, że może przyczynił się czem do mej choroby. A gdy doktor pozwolił mi wstać, ale siedzieć tylko w fotelu, przebywał u mnie całe godziny, czytając i bawiąc opowiadaniem studenckich kawałów!

Zauważyłam, że schudł aż mu się nos wydłużył. Był wesoły i dowcipny ale miałam wrażenie, że silił się na tę wesołość.

Odwiedzała mnie także Zochna. Dostała posadę, ale jest jakaś inna, bardzo spoważniała. Stosunek jej z Romkiem jest także trochę nienaturalny. Mało na niego zwraca uwagi, zaledwie się przywita i prędko wychodzi. Ani śladu dawnej zalotnej poufałości.

Zdaje mi się, że i Romek spostrzegł tę zmianę, ale nie pytał o przyczynę, może nie chciał, może nie śmiał, ale wzrok jego poważny i smutny śledził ją, gdy zemną rozmawiała.

Ciągle mi się zdaje, że wszyscy są nieswoi.

Czekałam z upragnieniem powrotu do sił, żeby jak najprędzej wyjechać do Zakopanego, gdzie ojczulek miał mnie zostawić u krewnych na miesiąc, abym zupełnie przyszła do siebie. Chciałam wyjechać, bo z tych murów wiało coś przygnębiającego.

Pewnego popołudnia jak zwykle siedziałam w fotelu, obstawiona kwiatami od Romka. On sam czytał mi zajmującą powieść. Z dołu dochodziły przytłumione dźwięki muzyki mamusi.

Robiło się szaro, ale ja taka się czułam bezsilna, że nie chciało mi się nawet poprosić o światło. Wreszcie Romek zamilkł i siedzieliśmy tak w półmroku.

Nagle poczułam na swej ręce ciepły pocałunek.

— Siostrzyczko, mówił Romek. Czy ci jest gorzej? Twarzyczkę masz bladą, jak płatek białej róży. Tak się niepokoję twoim brakiem sił.

Powiedz — może? — Słowa rwały mu się na ustach. — Może cierpisz przeze mnie? — wykrztusił wreszcie, może ci jaką wyrządziłem krzywdę — nieświadomie?

Tyle było bólu w tych słowach, że łzy pod powiekami zaczęły mi się zbierać, ale za wszelką cenę chciałam się opanować.

— Pamiętaj, Lenko, — już ci to raz powiedziałem i znów dziś powtarzam. Gdyby dla twego szczęścia potrzebne było moje życie, tobym się nie wahał z takim darem.

Nie wiem co mi podszepnęło te słowa, ale zapytałam bez zastanowienia.

— A gdyby moje szczęście było jednocześnie twojem czy taki dar ofiarowałbyś z równym entuzjazmem?

— Twoje szczęście mojem? — powtórzył wolno i bezdźwięcznie... A jam się nagle przestraszyła, że mogą paść słowa, które mnie zdruzgocą lub szczęściem takiem napełnią, o jakiem śnić zaledwie było można.

— Zapal światło — powiedziałam twardo i nakazująco, aż sama zlękłam się tonu. Romek posłusznie spełnił życzenie, ale rozmowy już nie podjął.

Czar prysł.

(C. d. n.)

Klub b. Wychowanek SS. Urszulanek w Poznaniu
dorocznym zwyczajem urządził „Gwiazdkę“ dla biednych dzieci. Tym razem nie dla zaproszonych ze szkół powszechnych, lecz dla „swoich“ t. j. tych, któremi członkinie Klubu stale się opiekują. Dary słodkie i „ciepłe“, deklamacje i śpiewy, barwna choinka i smaczny podwieczorek wypełniły program przemiłej uroczystości.



Uczennice **Gimnazjum SS. Urszulanek w Poznaniu**, nie dały się prześcignąć swym poprzedniczkom i zgromadziły dziatwę ubogą z Urbanowa, Sołacza, Grudzieńca i Gołęcina, pozostającą pod stałą opieką Stow. Pań Św. Wincentego à Paulo. — Sute były dary i praktyczne w postaci odzieży i żywności, a nie brakło i łakoci i zabawek. Wspólna zabawa zakończyła uroczystość.

Ważniejsza literatura krajoznawcza dotycząca Wielkopolski

Dr. Mieczysław Orłowicz: Ilustrowany Przewodnik po Poznańskiem. Książnica Polska TNSW. Lwów 1921. — Przewodnik po Poznaniu i Wielkopolsce z uwzględnieniem Pomorza i Śląska. Nakł. Wielkop. Związku dla Popierania Turystyki. Poznań 1929. — Zabytki Wielkopolskie. Ilustr. przewod. po Poznaniu i Wielkopolsce, *Marcin Derda*. Poznań 1929. — *J. Smoleński:* Wielkopolska. Wydaw. Polskie R. Wegnera. Poznań 1930. *Prof. Dr J. Karnowski:* Historja Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Poznań 1918. — *Józef Łukaszewicz*: Krótki opis historyczny kościołów parochialnych w dawnej dyecezyi Poznańskiej 3 tomy Nakł. Żupańskiego. Poznań 1858-63. — *Oskar Kolberg:* Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa. . Serja IX – XV. Kraków 1875—1882. — *J. Lipiński:* Piosenki ludu wielkopolskiego Cz. I. Poznań 1842 (antykwar.) — *A. J.*: Podania i legendy ludowe z Wielkopolski. Poznań 1884, — Wielkopolska i Wielkopolanie . . . Mikołów 1896. — *Lucjan Siemieński:* Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie. Poznań 1845. — *Hr. Edward Raczyński:* Wspomnienia z Wielkopolski Poznań 1843. – *Kazimierz Jarochowski*: Literatura poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Poznań 1880. Szkice z życia Wielkopolski w 17 wieku. Poznań 1925, Nakł. Księgarni K. Rzepeckiego. — *Dr Józef Kostrzewski:* Wielkopolska w czasach przedhistorycznych. Wyd. II. Poznań 1923. Wyd. Fiszer i Majewski. — *Stefan Papée:* Wielkopolska wczoraj i dziś. Nakł. Państw. Wyd. Książek. Lwów 1933. *Wacław Świątkowski:* Nad wodami Warty, Gopła i jezior Kujawsko-Wielkopolskich. Warszawa 1930. *K. Ruciński:* Przewodnik po Poznaniu. Poznań 1920. *Tad. Pudłowski:* Ilustrowany przewodnik po Poznaniu. Poznań 1928. – *Edward Pawłowski:* Poznań w historycznym rozwoju od początków aż po dzień dzisiejszy. Poznań 1928. — *Ks. Stan. Kozierowski*: Najdawniejszy Poznań i jego okolica w świetle nazw topograficznych i najstarszych

źródeł. Poznań 1922. — *Nikodem Pajzderski*: Poznań. Lwów – Warszawa 1922 Książ. Pol. — Ratusz poznański. Poznań 1913. *Z. Zaleski:* Przewodnik po Ratuszu poznańskim. Poznań 1929. *Ks. Fr. Ruciński:* Kościół katedralny pod wezwaniem św. Apostołów Piotra i Pawła w Poznaniu Poznań 1912 — *Dr A. Brossig:* Poznań i miasta Polski Zachodniej w grafice. Poznań 1929. — *J. Kilarski i Dr Tad. Smoluchowski:* Wycieczki dookoła Poznania. Poradnik dla młodzieży. Poznań 1930. — *Dr Andrzej Wojtkowski:* Edward Raczyński i jego dzieło. Poznań 1929. Ilustrowany przewodnik po Gnieźnie i okolicy. Gniezno 1929. Księg. W. Lebiedzińskiej. — *Al. Janowski:* Nad Notecią (Ziemia 1931 r. zeszyt 12). — *Dr M. Gumowski, Dr St. Truchim i Dr A. Wojtkowski:* Historja powiatu Żnińskiego. — *Kr. Klęskówna*: Wenecja pod Żninem (Ziemia 1932 Nr. 8 – 9). *Wł. Sperczyński:* Gopło i Kruszwica, Poznań 1923. *Tiedler Konrad i Józef Mozelewski:* Bydgoszcz, Przewodnik krajoznawczy. Bydgoszcz 1929. – *A. H. Kletka:* Z przeszłości miasta Wielichowa 1429-1929. Nakł. Magistratu m. Wielichowa 1929. — *Ks. Kielczewski:* Szkice z przeszłości Pakości. — „Września" Jej ziemia i mieszkańcy. Praca zbiorowa wydana przez Akad. Koło Wrześnian. Września 1932. *J. Grycz:* Zamek Kórnicki i jego zbiory. Nakł. Bibl. Kórnickiej. — *St. Pomykaj:* Sejmiki wielkopolskie w Środzie (Wici 1932 nr. 2 i 3). — *Dr B. Świderski:* Ilustrowany opis Leszna i Ziemi Leszczyńskiej. Leszno 1929. — *Dr B. Pajzderski*: Przewodnik po muzeum w Gołuchowie. Poznań 1929. *P. Bieńkowski:* O rzeźbach klasycznych w Gołuchowie. — Kronika miasta Poznania. Organ T-wa Miłośników miasta Poznania pod redakcją Z. Zaleskiego — Tęcza Ilust. pismo miesięczne w Poznaniu, pod redakcją Józefa Kisielewskiego. — Kronika Gostyńska. — Wici Wielkopolskie, miesięcznik regjonalny poświęcony sztuce i kulturze pod redakcją Marjana Turwida. — „Z grodu Halszki" Pismo miesięczne Koła Krajoznaw. młodzieży w Szamotułach. — „Ziemia Nadnotecka" Pismo Koła Krajoznawczego im. Janka z Czarnkowa w Czarnkowie. — Pauczanin.

Zestawił Franciszek Jaśkowiak.

Logogryf.

1) . X . . . .
2) . X . . . . . .
3) . X . . . .
4) . X . . . .
5) . X . . .
6) . X . . .
7) . X . . .
8) . X . . . . . .
9) . X . . . .
10) . X . . . .
11) . X . . . . .
12) . X . . . . . .
13) . X . . . . .
14) . X . . . .
15) . X . . .
16) . X . . . .

Wstawić na miejsce kropek i krzyżyków litery, aby (czytane poziomo) utworzyły 16 miast wielkopolskich, a (czytane z góry na dół) w miejscach krzyżyków dały imię i nazwisko znanego poety wielkopolskiego * 1819 – † 1875 autora „Powieści Wielkopolskich".

1) Kolebka państwa polskiego.
2) Rezydencja „Białej Damy".
3) Tu dochowała się baszta zamku Kaz. Wielkiego.
4) Rodzinne miejsce Kasprowicza.
5) Letnia rezydencja prezydenta.
6) Dzień w tygodniu.
7) Miasto graniczne.
8) Nad Wełną i Wartą.
9) Fara z grobowcami królewskiej rodz. Leszczyńskich.
10) Przy kościele wzorowanym na kat. Piotra i Pawła w Rzymie, skarbiec z pamiątkami po św. Wojciechu, Jadwidze i Kazimierzu W.
11) Zakład dla obłąkanych.
12) Wspaniała galerja nowoczesnej sztuki polskiej.
13) Gród Lecha.
14) Miasto powiatowe.
15) Zajęcze nogi.
16) Grób jen. Dąbrowskiego.

Materjały do niniejszego numeru poświęconego Wielkopolsce opracował **Komitet redakcyjny** Gimn. SS. Urszulanek w Poznaniu.

Nr. 7., (marcowy) poświęcony Kujawom opracowuje **Komitet redakcyjny** gimn. SS. Urszulanek we Włocławku (Pl. Kopernika 2).

TREŚĆ Nr. 6:

Jan Kasprowicz: Z Ziemi Wielkopolskiej 137. — Zofja Starowieyska-Morstinowa: Syn Ziemi Wielkopolskiej 138. — Em. jot. es.: Życie to chwila 140. Dr. Jan Dedio: Na jeziorze Bytyńskiem 141. — Wiesława Cichowicz: Wyprawny kufer Bamberki 143. — Janusz Olszanowski: Quo vadis munde? 145. — Romana Dediowa: Z życia Klaudji z Działyńskich Potockiej 147. — Dr Józef Kostrzewski: Najdawniejsi „Małopolanie" w Wielkopolsce 148. Nina Magierowa: Kocham Cię Wielkopolsko 150. Dr Adam Wodziczko: Park Narodowy w Ludwikowie pod Poznaniem 151. — Halina Dalewska: Lednica 153. — Wanda Pawłowska: Krajobraz Wielkopolski 154. — Aleksandra Plucińska: Wesele w Wielkopolsce 156. — Jasińska: Przesądy wśród ludu Wielkopolskiego 158. — K. N.: O grochu 158. — Zosia Michcińska: Biała Dama z Rydzyńskiego zamku 159. — Zofja Kossak-Szczucka: S. O. S. 160 — S. M. T.: Sanki 162. — S. M. T.: Zima i wiosna 162. — Ignis: Uśmiech życia 163.

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 8 ZŁ.

Numer niniejszy, powiększony **1 zł.**

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Julja Felicja Bronikowska.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.